DZIŚ W NUMERZE: Wszystko o teatrze ■ Pół wieku w służbie książki ■ Mała Ziemia ■ Opowiadanie Zofii Lorentz ■ Wędrówki zimą i latem ■ Wiersze Jerzego Wilmańskiego ■ Magazyn kulturalny

NR 14 (1060) ROK XXI
2 KWIETNIA 1978 R.
CENA 3 ZŁ

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

Foto: Archiwum

TEATR NIE ZNA GRANIC

Tegoroczny Międzynarodowy Dzień Teatru obchodzony jest pod pięknym hasłem „Teatr nie zna granic", co wiąże się z jubileuszem Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI) założonego w Pradze w 1948 roku, a także dwudziestoleciem polskiego Ośrodka Międzynarodowego Instytutu Teatralnego.

Gdybyśmy jednak nawet nie święcili tego podwójnego jubileuszu, hasło zachowałoby swoją nośność i siłę, teatr — choć tak bardzo z urodą słowa związany — zdolny jest bowiem przełamywać bariery języka, a nawet bariery narodowych uprzedzeń i nieść humanistyczne wzruszenie daleko poza granice ojczystego kraju.

Zarazem — na co historia polskiej kultury liczne daje świadectwa — teatr wtedy tylko twórczy jest i żywy, gdy czerpie z narodowej tradycji, gdy dźwięczy w nim ton patriotycznego zaangażowania, gdy ma odwagę spoglądać we współczesność i stawiać pytania, biorąc na siebie cząstkę współodpowiedzialności za losy ojczyzny i narodu.

Teatr polski — a nie są to z pewnością słowa zbyt duże — godnie spełnia rolę ambasadora narodowej kultury, nie od święta, a na co dzień, bierze też na siebie trud kształtowania umysłów i charakterów rodaków. I za ten trud, za znojną pracę, której gorączkowe natężenie wcale nie tak łatwo ocenić siedząc w wygodnych fotelach na widowni, wszystkim ludziom teatru, aktorom i pracownikom technicznych służb, złóżmy dziś po prostu serdeczne słowa podzięki.

CZYTAJ NA STRONIE 6-7

Wirgiliusz Gryń jako Kelin Ababij w sztuce Iona Druce „Największa świętość" (Teatr im. Stefana Jaracza) *Foto: L. Myszkowski*

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

O CZŁOWIEKU, KTÓRY MÓWIŁ ZA GŁOŚNO...

CZYTAJ NA STRONIE 8

OKIEM PRZECHODNIA

Wiosna jest nie tylko najpiękniejsza pora roku, ale także początkiem sezonu dla niemałej grupy zawodów. Ruszają się z wiosną rolnicy i budowlani, melioratorzy i lekkoatleci. Wiosna otwiera także nowe perspektywy dla plastyków. Nie twierdzę, by środowisko to zapadało kiedykolwiek w zimowy sen; jednak zima bywa o te parę możliwości mniej a zwłaszcza gdy chodzi o „ścianki". Dla nieorientowanych: chodzi o jeden z najbardziej popularnych aktualnie gatunków tzw. plastyki użytkowej — dużą reklamę ścienną. Trzeba sobie uświadomić, że w tym względzie „front robót" jest bardzo szeroki, szczególnie w Łodzi. Ale także w Warszawie, Poznaniu czy mniejszych miastach. W olsztyńskim malują się zlewnie mleka, w katowickim — stacje benzynowe; gdzie indziej to co daje się malować według projektu artysty plastyka.

Reklama ścienna, podobnie jak wysoki budynek, neon, szeroki plac czy pomnik funkcjonuje w powszechnej świadomości jako element „miejskiego stylu życia", wyznaczniki miejskości. Teoretycy wymieniliby zapewne parę innych funkcji, np. jako fragmentu miejskiej eko — i ikono — sfery kształtującego kulturową przestrzeń. Wydaje się to oczywiste i nie dlatego — przechodzień i mieszkaniec tego miasta — irytuje się patrząc na oplatające puste ściany rzędy drabin.

Co najmniej połowa łódzkich ścian niczego nie reklamuje, a najwyżej informuje o czymś lub jeszcze cześciej: demonstruje prestiż fundatorów, który jest im w sposób naturalny i prawem zagwarantowany. Proponuję krótki spacer, powiedzmy — ulica Zachodnia. Przy Ogrodowej parade reklam otwiera zniszczony już znak STOMILU z czarnym gumowym kaloszem. Obok Sp-nia Studium (usługi fotograficzne), Centrala BOMIS, dalej „Biblioteki Śródmieścia zapraszają", „Meble" przy Więckowskiego, „OTEX ubiera od stóp do głów" SPOŁEM itd. Z tego niepełnego jeszcze rejestru wynika, że może biblioteki wymagają promocji w taki sposób realizowanej — chociaż wątpliwe jest czy ktokolwiek zdoła odczytać na ścianie ich adresy pisane niewielką litera, w dodatku na nie — kontrastowym tle.

Zgódźmy się zatem, że większość tego reklamowego bogactwa da się interpretować jako wątpliwej potrzeby demonstracje obecności (w domyśle — znaczącej) wszystkich tych instytucji i form ich działalności w życiu miasta. Wypada się także zgodzić, że po niezbędnym dla poprawienia komunikacji przebiciu Zachodniej i wyburzeniu frontonów pozostało wiele pustych ścian, które wymagały oprawy. Jeśli zatem malarstwo ścienne pełni funkcje głównie dekoracyjna — to tym bardziej irytuje mnie jego zgrzebność, technologiczny i nierzadko plastyczny prymitywizm.

Dwa lata temu w „Odgłosach" Gustaw Romanowski nazwał je „muralami cioci Tandety". I co? Ciocia Tandeta — powiedziałbym — dziękuję, zdrowa. Murali przybywa z każdą wiosną wszędzie gdzie tylko znajdzie się dla nich pusta ściana. Niezależnie od otoczenia innych murali, bez oglądania się na obłażący tynk w sąsiedztwie — tuż obok połyskujących w wiosennym słońcu świeżością olejnych symboli. Myślę: jeżeli już budują solidne holenderskie rusztowanie dla takiej reklamy to o ile zwiększyłby się jej koszt gdyby tak dostawić jeszcze parę drabin i wymalować przy okazji naokoło: jedna robota. Ale jest inaczej, „murale" sobie i tzw. elewacje sobie. Łatwo zauważyć, że przestrzenna topografia murali niemal idealnie rozmija się z topografią „prac elewacyjnych". Jeden tylko łączy oba te wiosenne fronty robót wspólny mianownik: partanina i prowizorka.

Przygotowanie ściany pod mural (żeby na ironię trzymać się tego szlachetnego terminu) ograniczone jest zwykle do zatynkowania dziur. Zanim te dobrze wyschną, już brygada 2—3-osobowa rozrysowuje i zamalowuje według projektu, bo czas ucieka a sezon nie jest znów taki długi. Mural nie angażuje wielkich „mocy przerobowych" daje się wykonać przez kilkanaście dni. Jego siła jest efekt obliczony na tak długo, jaka będzie długowieczność tynkarskiego łatania, oszczędzania na solidnej wyprawie i trwałość emulsyjnej farby w warunkach klimatycznych wielkiego miasta. Rok? Może dwa? W krótkim czasie na powierzchnie ściany wylejе się kapiąca z dachu smoła, woda z nie zabezpieczonych rynien, niezespolone dobrze łaty zaczną odpadać wielkimi liszajami. Wielkomiejskie wszechobecne w powietrzu zapylenia pokryją mural opończą żrącej szarości. Minie parę długich lat zanim kolejny inwestor dysponujący ujętymi w planie funduszami na „reklamę" wystąpi do właściwej instancji o pozwolenie na zlokalizowanie tu następnego muralu. Uzyska je bez zastrzeżeń i historia się powtórzy.

Wszystko, co tu napisałem przeciwko tandetnym muralom może prowadzić do jednego wniosku: niech będą, skoro nie stać miasta na inne, szlachetniejsze formy dekoracji. Byle nie za cenę jakości i marnowania niemałych pieniędzy.

Długie jeszcze lata po wojnie ze ściany, gdzie dzisiaj jest taras HORTEXU, żółto-niebieskie słoneczko przekonywało że „Radion sam pierze" (ten przedwojenny). Znawcy Łodzi pokażą bez wahania parę całkiem czytelnych reklam z carskich jeszcze czasów. Aż smutno na myśl, że ich wykonawcy prości rzemieślnicy ani znali emulsji czy emalii ftalowej ogólnego stosowania. Nie był im dany los Leonarda da Vinci, którego „Ostatnia Wieczerza" poczęła zanikać całkiem jak murale cioci Tandety.

Co roku z wiosną duże miasta zakwitają wesołą zielenią i lasem pachnących świeżością desek rusztowań. Wyjrzą spod nich wkrótce nowe dowody istnienia PRÓCHNIKA, LIDO, WÓLCZANKI czy generalnie — PRZEMYSŁU BAWEŁNIANEGO. I tu wypada na koniec wtrącić jeszcze jeden aspekt funkcjonowania ściennych reklam, który przesądza o ich niezbędności. Są one przeznaczone dla turystów, co latem tłumnie do miasta zawitają. Oni nie wiedzą tego, co my wiemy. Jeśli będą to turyści ze strefy dolarowej — spotka ich u nas miłe rozczarowanie: tam u nich dolar spada na głowę i u nas, niestety potrzebuje reklamy (vide ul. Jaracza — Kilińskiego i plac przed Dworcem Fabrycznym — tu nawet z przekornym błędem). Będą się więc czuli swojsko i pewnie. A zatem — dobrego sezonu!

ANDRZEJ MAJER

GASPARONE W TEATRZE MUZYCZNYM

Sympatykom klasyki operetkowej, wszystkim miłośnikom melodyjnych arii i pełnej uśmiechu operetkowej dramaturgii łódzki Teatr Muzyczny przedstawił ostatnio znany utwór Karla Millöckera pt. „Gasparone". Twórca tego dzieika dość wysoką postawił poprzeczkę jego przyszłym realizatorom i wykonawcom. Akcja „Gasparone" rozgrywa się na Sycylii w nader barwnych, pierwszych latach XIX wieku. Millöcker, tak jak wszyscy współcześni mu twórcy tego gatunku, nie uniknął umiejscowienia jej w tzw. „wyższych sferach", dosyć umiejętnie połączył jednak ich problemy ze sprawami zupełnie innych kręgów społecznych, wprowadzając do akcji swego dzieła wieśniaków i urzędników, a nawet — dla zawiązania awanturniczej intrygi — połączył ich losy z perypetiami sycylijskich przemytników. Ci ostatni zresztą znakomicie spisują się jako inspiratorzy wszystkich działań wnosząc swą mentalnością i sposobem bycia sporo humoru, o którym — co rzadkie (ostatnio) na operetkowych scenach — śmiało powiedzieć można, że jest humorem wysokiej próby. Piękne melodie, zgrabna fabuła, dobry dowcip — oto atuty tego dzieła, które ku zadowoleniu odbiorców skłoniły dyrekcje teatru do umieszczenia go w repertuarze. Mamy więc na scenie łódzkiej operetki utwór na jaki jej miłośnicy czekali dość długo, a który do przybytku lekkiej muzy przekona być może także jej dotychczasowych przeciwników.

Osiągnięcie pełnego, odpowiadającego wizji kompozytora kształtu scenicznego spełnić się może tylko dzięki perfekcyjnemu wykonaniu niełatwych wcale zadań wokalnych, muzycznych, baletowych i aktorskich. Dramaturgia „Gasparone", w przeciwieństwie do innych operetek współczesnych Millöckerowi kompozytorów wydaje się być bardziej skomplikowana, trudniejsze i większych wymagające umiejętności wokalnych są linie melodyczne poszczególnych partii, nader sprawna musi tu być orkiestra, czysto brzmieć winien chór, spory i po prostu dobrze tańczący musi być w scenicznej realizacji tego dzieła zespół baletowy. Wymienione tutaj elementy nie wyczerpują całości problemów inscenizacyjnych. O ostatecznym kształcie przedstawienia decyduje przecież reżyseria i oprawa scenograficzna widowiska.

Ciekawi zapowiadanej na wcześniejszy termin łódzkiej premiery „Gasparone" pospieszyliśmy więc do operetki pełni skrywanych obaw, czy zespół tego teatru, który ostatnio zdawał się przeżywać pewien regres sprosta niełatwym zadaniom i zaprezentuje utwór Millöckera w sposób odpowiadający jego rzeczywistej wartości. Obawy nasze gasnąć zaczęły już w czasie uwertury dobrze (choć dla mnie nieco może za ostro) prowadzonej przez Beatę Ambros, której dziełem jest muzyczna strona przedstawienia. Kurtyna odsłoniła przed nami barwne, słoneczne Syrakuzy (wielkie brawa należą się Jerzemu Groszangowi za scenografię, zwłaszcza zaś za plastyczną kompozycje sceny w drugim akcie), a wykonawcy w taki sposób zaprezentowali wachlarz swych możliwości, że śmiało określić można ich kreacje mianem osiągnięć wokalno-aktorskich. Po raz pierwszy od wielu chyba lat twarda konieczność sprostania wszystkim zadaniom wokalnym nie wykluczyła precyzyjnych działań aktorskich a środki wyrazu, jakimi odtwórcy głównych ról tego przedstawienia posłużyli się dla ich konstrukcji pozwoliły nawet na wykreowanie precyzyjnych i subtelną linią zarysowanych portretów psychologicznych. Szczególne uznanie widowni wzbudziły propozycje sceniczne Krystyny Przybylskiej-Potemskiej, Małgorzaty Wilk, Edwarda Kamińskiego i Zbigniewa Walocha. Stworzyli oni postacie niezwykle barwne i wielkowymiarowe. Ku naszemu szczególnemu zadowoleniu, a dzięki ich kreacji nie wiało do nas ze sceny operetkowa sztampą. Żadnych zastrzeżeń nie budziła tym razem strona wokalna.

Wyraźnie odmłodzony chór śpiewał i grał w sposób, który zadowoliłby najbardziej wybrednego widza, balet natomiast swą nie oglądaną przez nas wcześniej sprawność zaprezentował w ciekawych układach choreograficznych będących dziełem Zygmunta Kamińskiego.

Wszystkim wykonawcom spełnienie naprawdę trudnych tym razem zadań ślicznymi kostiumami umiliła Maria Horbaczewska. Cieszyliśmy oczy ich niezwykłą elegancją i kolorytem tak ładnie określającym klimat poszczególnych scen.

Osobno i jak najserdeczniej ocenić wypada reżyserię tego spektaklu, Aleksander Długosz, któremu zawdzięczamy taki właśnie perfekcyjny kształt „Gasparone" udowodnił, że jest reżyserem wytrawnym, mogącym poszczycić się nie tylko znajomością tego wcale nie łatwego gatunku i jego wymagań, ale również świetnym warsztatem teatralnym w najszerszym rozumieniu tego słowa. W akcji rozwijającej się na scenie nie widzieliśmy ani jednego zbędnego elementu, a poszczególne rozwiązania sytuacyjne urzekały precyzją, czystością i logiką. Na wyjątkowe uznanie zasługuje znakomicie przez reżysera rozwiązany ruch sceniczny. Ci którzy spektaklu nie oglądali niech mi uwierzą na słowo, że był on jednym z istotnych elementów tego przedstawienia, które przygotowano z niezwykłą starannością i troską o najwłaściwszy, najpełniejszy kształt artystyczny.

Widoczny już na pierwszy rzut oka wysiłek realizatorów przyniósł efekt, który zadowoli najwybredniejszych nawet widzów. Efekt ten potwierdza stara już jak świat prawdę o jedynie liczącej się rzetelności we wszystkich poczynaniach. Pozwala on też na optymizmu pełne przypuszczenia o dalszej, jaśniejszej już przyszłości łódzkiej operetki.

EWA PANKIEWICZ

MŁODE KINO W ZACHODNIM BERLINIE

Zachodnioberliński festiwal filmowy jest, na tle innych festiwali komercjalnych, imprezą pod pewnymi względami wyjątkową. Przede wszystkim dlatego, że równocześnie z ambitnym programem (to znaczy właśnie mało komercjalnym) pozbawiony jest charakterystycznej festiwalowej pompy i nadęcia. Jest imprezą w zasadzie otwartą: bilety na projekcje festiwalowe odbywające się w kilku kinach berlińskich można kupić bez trudności przed seansami. Wielkie gwiazdy kina nie budzą tu sensacji z tej prostej przyczyny, że ciekawsze okazują się filmy. Dodatkowo rozluźniająco wpływa na atmosferę impreza towarzysząca głównemu festiwalowi już od ośmiu lat — Międzynarodowe Forum Młodego Filmu — organizowane przez berliński odpowiednik naszej warszawskiej Filmoteki.

Podczas ostatniego festiwalu (25.II.—6.III.) najciekawsze filmy prezentowane były właśnie na Forum. Trudno znaleźć jednoznaczny klucz do programu tej imprezy. Pokazywane są tu filmy zarówno młodych twórców, jak i te, które ze względu na zawartość myślową i nowatorstwo formalne można uznać za młode. Stąd właśnie w programie także filmy wcale nie nowe np. „Rwanyje Baszmaki" M. Barskiej z 1933 roku, czy film Mizoguchiego „Waga koi wa moenu" z 1949, a także świetna kubańska „Ostatnia wieczerza" („La ultima cena") rówieśnika Wajdy Tomaso Alea.

Filmy na Forum oglądają przede wszystkim studenci berlińskiej Szkoły Filmowej i Akademii Sztuk, których poglądy polityczne i artystyczne dają się odczytać w równym stopniu z reakcji po projekcjach, co z dyskusji z autorami filmów. Kino młodych, czy też młode kino jest kinem protestującym: w pierwszym rzędzie przeciwko polityce społecznej w RFN (kino niemieckie). Tu wymienić należy film Margarethe von Trotta „Powtórne przebudzenie" („Das zweite Erwachen") podejmujący problem terroryzmu i stosunku społeczeństwa mieszczańskiego do tego charakterystycznego zjawiska ostatnich lat. Film wzbudził ogólny aplauz: bohaterka filmu dokonuje napadu na bank po to, by zdobyć pieniądze na finansowanie przedszkola, któremu grozi likwidacja i przejęcie lokalu przez sklep porno. Ukrywająca się i osamotniona wpada w ręce policji, by w rezultacie uniknąć procesu dzięki urzędniczce banku, która jako jedyna może potwierdzić jej udział w napadzie — czego świadomie nie czyni poznając wcześniej motywy działania bohaterki. Oczywiście film realizuje przede wszystkim funkcje dydaktyczna (b. aktualna — biorąc pod uwagę plakaty porozwieszane w Berlinie, w których obiecuje się po 50 tys marek od terrorysty). Reakcja publiczności jest charakterystyczna dla stosunku młodzieży niemieckiej do samego problemu, ale z terrorystami nie taka jednak prosta sprawa jak prosta i sentymentalna jest fabuła filmu.

Drugim problemem spędzającym sen z powiek twórcom i publiczności jest problem równouprawnienia kobiet, który w ogóle jest w tej chwili w zachodniej Europie najsilniej przeżywanym przez środowiska intelektualne tematem. Nas to oczywiście nieco śmieszy, ale z pewnością niesłusznie, bo na razie nie stać nas na tego typu problemy — pozornie tylko nieistotne. Oczywiście przybiera to czasem dość skrajne formy: nasza „Blizna" stała się punktem wyjścia do pytań dotyczących sytuacji kobiet w Polsce, ze względu na mało ważną scenę, w której sekretarka dyrektora żali się, że w sprawach urzędowych nie ma wiele do powiedzenia.

Nie brakowało również prób przezwyciężania ograniczeń technicznych kina: pokonanie odrębności przestrzeni ekranu i sali projekcyjnej odbywało się w eksperymentalnym filmie japońskim Shuji Terayama. Od rana Japończycy przygotowywali specjalny ekran do wieczornej projekcji. Wreszcie oczekiwania zostają zaspokojone. Na ekranie pojawiają się trzy sympatyczne panie z klubu porno, które wytrwale zachęcają któregoś z widzów do przyjścia do nich w film. Wreszcie ktoś nie wytrzymuje nerwowego napięcia, przepycha się między rzędami i wchodzi w ekran (ekran zrobiony był z pociętych pasków płótna zawieszonych luźno na ramie) po czym poddaje się już w filmie obiecanym atrakcjom, by w rezultacie po zbyt agresywnych poczynaniach bohaterek, już bez ubrania uciec z powrotem na widownię.

Biorąc pod uwagę całość pokazywanych na Forum filmów (ponad 70) trudno dokonywać wnikliwszych uogólnień. W pamięci pozostają poszczególne, wyjątkowo natrętne obrazy, charakterystyczne: bardzo często są to sceny, w których występuje policja, anarchiści i rewolucjoniści raczej wątpią i przeżywają kryzys. Jaśniejszymi punktami w programie są filmy Szukszyna, których retrospektywa w całości wprowadzona została do projekcji Forum. Z polskich filmów w programie tej imprezy umieszczona jest „Blizna" (wspomniana już wcześniej), przyjęta dobrze, jakkolwiek w dyskusjach pytania do K. Kieślowskiego ograniczają się do próśb o wyjaśnienie faktów niejasnych dla widzów niemieckich, a dla nas oczywistych.

W programie głównego festiwalu międzynarodowego znajdują się aż trzy filmy polskie: „Śmierć prezydenta" J. Kawalerowicza (nagrodzony Srebrnym Niedźwiedziem), „Copyright by Film Polski" P. Szulkina i „Barwy ochronne" K. Zanussiego prezentowane w pokazach informacyjnych. Biorąc pod uwagę, że główną nagrodę — Złotego Niedźwiedzia — otrzymały ogólnie wszystkie filmy hiszpańskie prezentowane na festiwalu, nagroda dla filmu Kawalerowicza jest dużym sukcesem. Inna sprawa, że konkurencja nie była zbyt silna. Z 23 filmów konkursowych, poza polskim zwraca uwagę jeszcze parę tytułów np. amerykańska „Premiera" J. Cassavetesa czy kanadyjski „Outrageous" R. Bennera. Ten ostatni film uznany przez krytykę amerykańską za jeden z najlepszych filmów ubiegłego roku, zawdzięcza swój sukces przede wszystkim rewelacyjnej kreacji aktorskiej Craiga Russella — gwiazdy amerykańskich rewii transwestytów. Zarówno w tym filmie jak i znacznej części pozostałych naczelnym tematem staje się rozpatrywany w różnych warunkach problem wolności jednostki we współczesnym społeczeństwie, opozycji jaka powstaje na styku indywidualności pojedynczego człowieka i ograniczoności możliwych ról społecznych w warunkach totalnej unifikacji. Publiczność festiwalowa największym jednak brawami wyróżniła kubański film Octavio Cortazara „Nauczyciel" („El Brigadista") ze względu na jego rewolucyjną wymowę, co akurat w tym wypadku świadczy bardziej o nastrojach publiczności niż o artystycznych walorach filmu.

Od poważnej — młodzieńczej tematyki odbiega treść włoskiego filmu „Diabelski krąg" („Circuito chiuso") Giuliano Montaldo. Dowcip polega na tym, iż widzowie westernu tak bardzo przeżywają finałową scenę pojedynku, że kula z pistoletu bohatera ekranowego trafia za każdą projekcja filmu w któregoś z widzów w pierwszym rzędzie. W efekcie film zostaje zakazany ze względu na bezpieczeństwo widowni i zastąpiony filmem o King-Kongu. Oczywiście możemy się domyślać, co stanie się, gdy pod wpływem emocji widzów bohater tego filmu zejdzie z ekranu.

Wiosną 78 roku kino na festiwalu w Berlinie jest naprawdę bardzo młode.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

120 GŁOSÓW NA KICZ

Wieczorem 22 marca obejrzałem program rozrywkowy TV pod nazwą „Przed Opolem: Debiuty". Raczej przypadkowo niż z wyboru, ale w miarę oglądania naszły mnie pewne refleksje, którymi spieszę podzielić się z czytelnikami.

Wielokrotnie słyszy się — i nie bez racji! — utyskiwania, że nie jesteśmy narodem dostatecznie umuzykalnionym. Dotyczy to zarówno starszego pokolenia, które podczas wycieczki zorganizowanej przez radę zakładową potrafi co najwyżej zaśpiewać niezbyt czysto „O, mój rozmarynie, rozwijaj się!", jak średniaków, których znajomość literatury piosenkarskiej poszerzyła się o kukułeczkę, która kuka, jak też niestety i młodzieży, dla której jakże często „Kolorowe jarmarki" śpiewane przez Laskowskiego, albo „Jak się masz, kochanie, jak się masz?" w interpretacji grupy „Happy-End" — stanowią szczyty kunsztu piosenkarskiego i dobrego smaku.

Dlatego trwającym od co najmniej dwudziestu lat próbom rozśpiewania Polaków, zarażenia ich zamiłowaniem do muzyki, choćby tej czysto rozrywkowej, należałoby przyklasnąć. Klaskałbym chętnie i najgłośniej, gdyby w tej dziedzinie gra była zawsze uczciwa, bez fauli. Gdyby nie wyrobionego słuchacza piosenek nie robiło się tak często w konia, a tkwiącego w nim braku zainteresowań muzycznych nie próbowało się zakłamać, zastąpić atmosferką nieustającego konkursu i hazardu.

Bezradność przeciętnego rodaka w ocenie piosenek i interpretacji powoduje, że w dziedzinie tej jak w rzadko której sferze działalności artystycznej rozplenił się tupet i niekompetencja. W poczuciu bezkarności propaguje się grafomańskie teksty, nieciekawe melodie i złe wykonawstwo. Gdzie nie ma jasności w sprawie kryteriów, tam wmówić można wszystko, wylansować kogo się chce, zwłaszcza jeżeli towar podaje się w złudnie efektownym opakowaniu, w blasku paru setek pulsujących żarówek elektrycznych i filtrowanych na różne kolory reflektorów.

Ale trzymajmy się konkretnego programu, o którym wspomniałem na wstępie! Stanowił on jedno z ogniw cyklu audycji poprzedzających tegoroczny festiwal piosenkarski w Opolu, firmowanych przez studio debiutów pod kierunkiem Bernarda Kostmana i Barbary Urbanowicz. Zaprezentowano nam parę zespołów wokalno-instrumentalnych i kilkoro solistów, poddając ich natychmiastowemu osądowi widzów, którzy telefonując pod podany numer zadecydować mieli na gorąco, kogo z wykonawców pragnęliby najbardziej ujrzeć w tym roku w opolskim amfiteatrze.

A zatem sięgnięto raz jeszcze do wypróbowanego arsenału chwytów, by stworzyć pozory, że to zagubiony vox populi rozstrzygnie o tym, czyją skroń zwieńczyć laurem zwycięstwa. Magiczny telefon decyduje o wszystkim, nie ma faworytów, nie ma lipy! Trzeba tylko zarazić telewidza tym samym duchem, jakim opanowany jest obserwując, kto wyżej: Ślusarski czy Kozakiewicz!

Żeby uczestnikom plebiscytu do reszty zamącić w głowie, nie zagwarantowano piosenkarzom jednakowych warunków. Jedni występowali w sztywnej gali, zbliżonej do tej, jaka panuje na festiwalach, inni w klimacie „roboczym", „na luzie", z markowanymi ingerencjami kierownika muzycznego i realizatora wizji. Jak porównywać ze sobą gotowy produkt estradowy z jednej strony — z kształtowaną (pozornie!) na naszych oczach propozycją interpretacyjną z drugiej, Bóg to raczy wiedzieć! Osobiście uważam, że w lepszej sytuacji wyjściowej byli ci drudzy wykonawcy, ludzi korci bowiem zawsze, by poznać widowisko od kulis, in statu nascendi.

Czy w tym przypadku dano nam posmakować trochę autentycznej atmosfery próby? Oczywiście — nie. Produkuje się na przykład piosenkareczka o malutkim głosie i jednostajnej, niewymyślnej interpretacji. Nadchodzi moment, w którym zaatakować ma wyższe rejestry. Cóż, kiedy biedactwo nie potrafi, głos załamuje się! Kierownik muzyczny przerywa wykonawczyni. Sytuacja aż prosi się o to, by wytknąć jej popełniony błąd. Ale nie! To przecież tylko „zagrywka", jedna z owych pozorowanych ingerencji, mająca na celu robić nastrój.

Jeżeli zatem autorzy programu chcieli telewidzów skołować do reszty, to im się niewątpliwie udało. Plebiscyt telefoniczny przyniósł wyniki zaskakujące. Owa nieszczęśnie fałszująca, mało umiejąca piosenkarka zdobyła najwięcej głosów (120). Może poczuła się już gwiazdą? Zaś na najbardziej chyba interesującą głosowo, kulturalnie przekazującą piosenki poetyckie wykonawczynię (zapamiętałem nazwisko: Fuczik) nie padł ani jeden głos.

Zadawałem więc sobie później pytanie: jaką wartość umuzykalniającą miał ten program? W tygodniku „RTV" przeczytałem, że Kostman i Urbanowicz wykonują „dobrą robotę". Dobrą robotę? Zakończyłbym tę wypowiedź akcentem melancholijnym, gdyby nie jeden fakt. Na mierną piosenkarkę oddano telefonicznie 120 głosów, a program oglądało nas chyba parę milionów. Nie dajmy się zwariować!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROSCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

MAREK CZECHOWSKI

PÓŁ WIEKU W SŁUŻBIE KSIĄŻKI

Odradzający się po wojnie ruch bibliofilski nie od razu znalazł podatny grunt do działania. Wprawdzie niemal tuż po wojnie reaktywowały swą działalność Towarzystwo Miłośników Książki w Krakowie i Towarzystwo Bibliofilów im. Lelewela w Toruniu, podjęto również próby wskrzeszenia organizacji bibliofilskich w innych ośrodkach, m.in. w Lublinie i Poznaniu, tym niemniej w pierwszym powojennym dziesięcioleciu nie udało się stworzyć samodzielnego stowarzyszenia miłośników książki. Miejscem spotkań bibliofilów stały się księgarnie, a zwłaszcza antykwariaty, biblioteki, działające przy nich Koła Przyjaciół, tych którzy profesjonalnie związani byli z książką zrzeszało Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich. Aktywne środowiska bibliofilskie w Katowicach, Poznaniu i Łodzi zaznaczyły z czasem swą obecność tworząc w ramach stowarzyszenia sekcje bibliofilskie. Wszystkie te organizacje powadziły ożywioną działalność przede wszystkim w zakresie popularyzacji wśród szerokich kręgów społeczeństwa czytelnictwa i kultury książki. Przeobrażenia w życiu kulturalnym kraju niosły ze sobą zwiększenie zapotrzebowania na książkę co pociągało za sobą z jednej strony wzrost produkcji wydawniczej, z drugiej — rozwój sieci księgarń i bibliotek zarówno naukowych jak i powszechnych. Odradzający się ruch bibliofilski przyjął na siebie zadanie rozwijania czytelnictwa i miłośnictwa książki, propagowanie książki wartościowej i pięknej, łączącej w sobie walory treściowe z doskonałością formy zewnętrznej. Poczynania bibliofilów zmierzały do rozpowszechnienia idei twórczego zbieractwa książek, poszanowania książki dawnej i zabytkowej, wiele uwagi poświęcono sprawie estetyki druku, wysuwany był postulat udostępnienia prywatnych księgozbiorów dla celów naukowych.

W pierwszych powojennych latach Łódź stała się azylem dla ludzi nauki, sztuki i literatury. Miasto było siedzibą instytucji naukowo-badawczych i kulturalnych, a także kilku wyższych uczelni. Wzmożone zapotrzebowanie na książkę spowodowało powstanie placówek wydawniczych rozwój drukarstwa i księgarstwa, zaistniała konieczność organizowania bibliotek naukowych, których Łódź dotychczas nie posiadała, a także oświatowych, zabezpieczenia zbiorów i szkolenia bibliotekarzy. Na nowo powstałym **Uniwersytecie Łódzkim** utworzone zostały studia bibliotekoznawcze, wsławione nazwiskami wykładowców — **Heleny Radlińskiej** i **Jana Muszkowskiego.** Powołano do życia **Państwowy Instytut Książki,** będący centralną instytucją naukowo-badawczą w dziedzinie nauki o książce i bibliotece, Instytut Kulturalno-Oświatowy przy Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" prowadził systematyczne badania czytelnictwa. Po wojennej przerwie we wrześniu 1945 roku wznowiło swą działalność **Koło Łódzkie Związku Bibliotekarzy Polskich,** założone 19 stycznia 1919 roku było pierwszym oddziałem związku i przejawiało dużą aktywność, podejmując działania, których celem nadrzędnym był rozwój bibliotekarstwa i czytelnictwa powszechnego w Łodzi, zaniedbanej wówczas pod względem kulturalnym i oświatowym. Z inicjatywy koła zorganizowano cykl odczytów i kursy dla bibliotekarzy, prowadzone były prace badawcze nad czytelnictwem i stanem bibliotekarstwa oświatowego w Łodzi. Po wojnie związek brał udział w ogólnopolskiej rejestracji strat bibliotek i archiwów, nie zaniedbując pracy nad podnoszeniem poziomu wiedzy zawodowej i szkolenia kandydatów na bibliotekarzy. Szczególnie aktywna działalność rozwinęła sekcja odczytowa.

Wszystkie te poczynania wytworzyły przychylny klimat, sprzyjający rozwojowi ruchu miłośnictwa książki. Zwłaszcza, że wciąż żywe były wśród łodzian tradycje bibliofilskie. W okresie międzywojennym działało w Łodzi TOWARZYSTWO BIBLIOFILÓW, założone w 1927 r. z inicjatywy PRZECŁAWA SMOLIKA, później wieloletniego prezesa towarzystwa. Wraz z rozwijającym się zbieractwem książek dojrzewała sytuacja sprzyjająca utworzeniu stowarzyszenia bibliofilskiego. Inicjatywa wyszła z kręgu ludzi, skupionych wokół antykwariatu „Słowo". Funkcję organizatora przejął JAN AUGUSTYNIAK, wieloletni dyrektor MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ, przewodniczący Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, współorganizator i aktywny działacz Towarzystwa Bibliofilów, a przy tym orędownik bibliotekarstwa i czytelnictwa.

Na pierwszym zebraniu organizacyjnym w kwietniu 1958 r. postanowiono przy Okręgu Łódź-Miasto SBP utworzyć Sekcję Bibliofilską, która później przyjęła nazwę Klub Miłośników Książki. Podstawę finansową klubu miały tworzyć składki członkowskie, a warunkiem wstąpienia była przynależność do SBP. W skład zarządu weszli: prezes — **Michał Kuna,** sekretarz — **Janusz Dunin,** skarbnik — **Henryk Maszewski. Jan Augustyniak** otrzymał godność prezesa honorowego.

Klub Miłośników Książki działał w obrębie SBP, nie posiadał osobowości prawnej ani osobnego statutu, tym niemniej już w początkowej fazie swej działalności zdołał wypracować własne cele i formy pracy. Rozwinięto szeroko zakrojoną akcję propagowania książki wśród mieszkańców Łodzi, łącząc idee bibliofilstwa z problematyką bibliotekarstwa, czytelnictwa i bibliografii, ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień regionalnych. Przez cały okres działalności organizowane były spotkania klubowe, tematycznie związane z zagadnieniami szeroko pojętej wiedzy o książce.

Tam też prezentowano własne zbiory, wymieniano informacje i książki, a zwłaszcza ekslibrisy, których kolekcjonerstwo stawało się coraz bardziej popularne wśród członków klubu. Na zebraniach gościli niejednokrotnie bibliofile z innych ośrodków, nawiązywano również współpracę z miejscowymi instytucjami kulturalnymi, artystycznymi i oświatowymi. Podejmowano także działania o szerszym zasięgu społecznym. Były to przede wszystkim wystawy książek i ekslibrisów, pogadanki propagujące czytelnictwo, wygłaszane w szkołach i bibliotekach, otwarte zebrania klubowe. Niejedna bibliofilska inicjatywa znalazła oddźwięk w programie Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia i dokumentację w postaci wzmianek i artykułów prasowych.

13 listopada 1958 r. zainaugurowana została stała impreza KMK tzw. „spotkania czwartkowe". Na pierwszym zebraniu z tego cyklu Michał Kuna zaprezentował bibliofilskie czasopismo „Imprimatur". W gościnnych progach księgarni „Oświatowej", kierowanej wówczas przez Jana Rogozińskiego, spotykano się kilkakrotnie, m.in. Janusz Dunin podzielił się z zebranymi swoimi uwagami na temat „O grafomanach zwykłych i wybitnych. Od ks. Baki do Rozbickiego". Do tradycji KMK należały imprezy organizowane w lokalu Miejskiej Biblioteki Publicznej. Terenem bibliofilskich spotkań były także siedziby innych łódzkich instytucji, takich jak: Instytut Celulozowo-Papierniczy, Biblioteka Uniwersytecka i Akademii Medycznej, Archiwum Miejskie, księgarnia „Pegaz" i in. Tematyka spotkań i poruszanych na nich spraw jest bardzo różnorodna. I tak **Jadwiwga Siniarska-Czaplicka** wygłosiła prelekcję „O papierze czerpanym i znakach wodnych" oraz „O papierniach nad Mogą i Rawką", **Andrzej F. Grabski** omówił problemy książki i bibliofilstwa we Francji, **Edmund Jarzyński** wygłosił gawędę której tematem były utwory literackie poświęcone Łodzi, a **Józef Gajek** wystąpił z referatem, zatytułowanym „Warsztat bibliograficzny bibliofila".

Zwyczaj prezentowania własnych zbiorów i osiągnięć bibliofilskich wszedł na trwałe do repertuaru zebrań KMK. **J. Dunin** i **W. Pryt** są autorami wieczoru klubowego, zorganizowanego pod hasłem: „Tuwimiana w naszych zbiorach", **Bolesław Busiakiewicz** zaprezentował swoją kolekcję muzykaliów, połączoną z koncertem ze starych, a rzadkich nagrań płytowych. Wieczór pod nazwą „Bibliofilska choinka" zorganizował wśród swoich zbiorów **Wacław Pryt.** Zebrania klubowe były również okazją do podzielenia się wynikami własnych badań i osiągnięć twórczych. **Jadwiga Siniarska-Czaplicka** przedstawiła swoją pracę doktorską „Znaki wodne papierni Mazowsza 1750—1850". Na zebraniu ogólnym SBP, zorganizowanym przez Klub Miłośników Książki, **Janusz Dunin** i **Witold Wieczorek** zapoznali zebranych ze swoją pracą pt. „Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi 1927—1939". To pierwsze opracowanie dziejów bibliofilstwa na terenie Łodzi, opublikowane następnie na łamach **„Prac Polonistycznych"**, ukazało się także w formie osobnej nadbitki z sygnetem KMK na okładce.

Część imprez KMK odbyła się poza Łodzią. Kilkakrotnie odwiedzano krośniewicką aptekę, gdzie **Jerzy Dunin-Borkowski,** mianowany z okazji jubileuszu 50-lecia kolekcjonerstwa „Hetmanem bibliofilów polskich", zaprezentował zebranym swe bogate zbiory starodruków, rękopisów, i pamiątek narodowych. Tamże w czerwcu 1965 r. odbyło się spotkanie z przedstawicielami warszawskiego środowiska bibliofilskiego, skupionymi w Towarzystwie Przyjaciół Książki. W trakcie spotkania nawiązano osobiste kontakty wymieniono uwagi i doświadczenia, przedyskutowano też możliwości dalszego rozwoju ruchu bibliofilskiego w Polsce. Dużo wrażeń przyniosła wycieczka do Łowicza i Nieborowa. Jej uczestnicy poznali ciekawe zbiory członka KMK **Zygmunta Rągowskiego,** a w Nieborowie wysłuchali gawędy **Jana Węgnera** o dziejach tamtejszej biblioteki, mieszczącej się w stylowych wnętrzach pałacowych.

Foto: W. Parys

Zebrania KMK były „miejscem gdzie dzielono się wrażeniami i spostrzeżeniami z podróży zagranicznych. Relację z popytu w Czechosłowacji J. Dunin zatytułował „O bibliotekach, antykwariatach i bibliofilach nad Wełtawą". Gawęda **Izabeli Nagórskiej** „Śladami książki wokół Morza Czarnego" zainaugurowała cykl imprez pod hasłem „Książka za miedzą", a pobyt **Stanisława Kaszyńskiego** w Austrii stał się tematem odczytu pt. „Wiedeńskie varia". Uroczystą oprawę miało zebranie w listopadzie 1962 r., na którym nestor łódzkich księgarzy, **Jan Rogoziński** obdarowany został pamiątkowym adresem z okazji 40-lecia pracy w zawodzie. Jubileusz 70 rocznicy urodzin i 40 — pracy w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich, który obchodził w czerwcu 1963 r. **Jan Augustyniak,** upamiętniony został poprzez wydanie portretu jubilata, sztychowanego w miedzi przez **Teofila Jóźwiaka.** Z okazji 20-lecia antykwariatu „Słowo" wybito pamiątkowy medal, projektu Hanny Stańskiej.

Osobny rozdział stanowią inicjatywy wydawnicze, podejmowane przez klub. Działalność edytorska w zakresie wydawania pięknych drukow, odznaczających się walorami artystycznymi i bibliofilskimi, jest ważnym elementem w działaniu każdego stowarzyszenia bibliofilskiego. W przypadku Łodzi zobowiązywała również tradycja. W okresie międzywojennym Towarzystwo Bibliofilów wydało dziewięć druków, a współuczestniczyło w wydaniu dwu dalszych, z których każdy stał się wydarzeniem edytorskim Wysoko ocenione przez zbieraczy i prasę bibliofilską, stanowią dzisiaj obiekt poszukiwany i trudno dostępny.

Pierwsze przejawy działalności wydawniczej KMK to druki okolicznościowe — karnety i zaproszenia na imprezy i zebrania. W ciągu 8-letniej historii klubu ukazało się ich około 40, wszystkie wykonane starannie, nie bez ambicji nadania tym drobnym formom typograficznym cech bibliofilskich, co stanowi przede wszystkim zasługę prezesa — **Michała Kuny.** Na większe przedsięwzięcie edytorskie w początkowym okresie istnienia KMK nie było funduszy. Środki na ten cel postanowiono zdobyć odwołując się do ofiarności członków. W grudniu 1959 r. odbyła się w antykwariacie „Słowo" pierwsza na terenie miasta aukcja bibliofilska, zorganizowana z darów, ofiarowanych na rzecz klubu. „Katalog pierwszej mikroaukcji..." rejestruje 70 pozycji, na które złożyły się książki, rękopisy, druki ulotne i ekslibrisy. Członek KMK, artysta-plastyk **Jerzy Krawczyk,** podarował na aukcję specjalnie w tym celu namalowany obraz, a gospodarz ufundował „kota w worku", który okazał się pięknie grawerowaną lupą. Wszystkie książki oznaczone zostały okolicznościowym ekslibrisem.

Dochód z aukcji zasilił fundusz wydawniczy na tyle, że już z końcem następnego roku można było zrealizować publikację bibliofilską z prawdziwego zdarzenia. Jest nią praca doktorska **Jadwigi Siniarskiej-Czaplickiej** „Znaki wodne papierni Mazowsza 1750—1850", wydana wspólnymi siłami klubu i Instytutu Celulozowo-Papierniczego. Tekst powielony techniką „małej poligrafii" uzupełniony odrysami filigranów, ilustracjami i mapą, odbitą na czerpanym papierze, dają w sumie druk, który śmiało nazwać można bibliofilskim. Nic więc dziwnego, od razu znalazł nabywców i jest już dzisiaj niemalże nieosiągalny.

Przypadające w 1961 r. 300-lecie prasy polskiej i 100-lecie prasy łódzkiej bibliofile upamiętnili wydaniem okolicznościowego druku pt. „Pierwsza nie publikowana fotografia redakcji łódzkiego „Rozwoju" z 1898 roku", opracowanego przez **Witolda Wieczorka.** Niewielka, bo cztery karty licząca publikacja ukazała się w nakładzie 80 egz. i towarzyszyła wizycie w dziale zbiorów specjalnych Miejskiej Biblioteki Publicznej, zatytułowanych przez zebranych na imprezie „magazynem bibliofilskich dygresji". Z inicjatywy KMK Zakład Narodowy im. Ossolińskich wydał „Joachima Lelewela odpowiedź na ankietę historyczną Francois Guizota". Tekst z nieznanego rękopisu przełożył, skomentował i opatrzył przedmową **Marian Henryk Serejski,** a książkę zaopatrzono w reprodukcje autografu i podobiznę autora. Ukazanie się tej książki zbiegło się z udziałem KMK w obchodach, związanych z 100 rocznicą śmierci autora „Ksiąg bibliograficznych".

Już w początkowej fazie działalności klubu w sferze zainteresowań bibliofilskich pojawił się ekslibris. W KMK skupiła się grupa aktywnych zbieraczy i miłośników księgoznaku, inspirując tym samym miejscowe środowisko twórców. Powstawały kolekcje, zamawiano ekslibrisy na oznaczanie własnych zbiorów, organizowano wystawy. Związany z KMK TEOFIL JÓŹWIAK eksponował swoje prace na X Międzynarodowym Kongresie Ekslibrisu w Krakowie. Jest on również autorem teki ekslibrisów, wydanej sumptem klubu. Ekslibrisy Jóźwiaka, który przez pewien czas był jedynym twórcą, uprawiającym ten gatunek grafiki na terenie miasta, zdobyły sobie uznanie wśród bibliofilów. Swój własny styl i odrębny warsztat zaprezentowała HANNA STAŃSKA, obdarowując członków KMK teką „13 ekslibrisów ciętych w linoleum".

Rok 1966 kończy działalność klubu. Status sekcji działającej w obrębie SBP okazał się zbyt szczupły, w związku z czym zaistniała konieczność utworzenia odrębnego stowarzyszenia. 11 lutego 1967 r. odbyło się zebranie organizacyjne, na którym utworzono zostało Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki, będące kontynuatorem tradycji miłośnictwa książki jako trzecie, i jak dotychczas ostatnie ogniwo w łańcuchu form organizacyjnych, jakie ruch ten na terenie miasta przyjmował.

LISTY KAROLA LIBELTA

Pisząc przed kilkoma tygodniami felieton w związku z ukazaniem się pięknej książki poznańskiego historyka Zbigniewa Grota o wybitnym filozofie oraz działaczu politycznym z ubiegłego stulecia Karolu Libelcie nie myślałem, że wielokrotnie podnoszony przez specjalistów postulat opublikowania drukiem epistolograficznej spuścizny myśliciela spełniony zostanie aż tak szybko. Bo oto leży przede mną gruby liczący 650 stron tom, zatytułowany: „Karol Libelt — Listy", wydany przez Z. Grota w Instytucie Wydawniczym PAX już w bieżącym, 1978 roku. Zawiera on, oprócz koniecznego w takich przypadkach wstępu wszystkie listy Libelta, jakie w wyniku wieloletniej pracy udało się odnaleźć wybitnemu historykowi w bibliotekach i archiwach krajowych i zagranicznych. Czy zbiór obiął rzeczywiście wszystko, co zachowało się z listów filozofa o tym będziemy mogli sądzić dopiero za jakiś czas. Zazwyczaj tak się zdarza że edycja jakiejś korespondencji skłania zainteresowanych badaczy do dalszych poszukiwań, a także do wyciągania z szaf i stosów notatek jakichś nieznanych dotąd ułomków epistolograficznych. W ślad więc za wydaniem w rozumieniu i intencjach edytora „pełnym" pojawiają się uzupełnienia w postaci nowych, nie znanych dotąd listów. Było tak po wydaniu korespondencji Adama Naruszewicza, Ignacego Krasickiego, po ukazaniu się pięciu wspaniałych tomów „Listów Emigracyjnych" Joachima Lelewela. Dlaczego w przypadku listów K. Libelta miałoby być inaczej? Należy się więc spodziewać nowych odkryć i uzupełnień których by z pewnością nie było gdyby nie ogromny trud podjęty przez Z. Grota zebrania i wydania tego wszystkiego co znalazło się w edycji „Listów". Złożyło się na nią 389 tekstów listów zachowanych przeważnie w oryginałach, częściowo tylko w odpisach i brulionach. Największy ich zespół został zgromadzony dzięki przewidującej zapobiegliwości żonatego z córką myśliciela profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego wybitnego archeologa z ubiegłego wieku Józefa Łepkowskiego. Razem z żoną gromadził on pamiątki po Libelcie w celu uchronienia ich od zagłady. W części przeszły one później do zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej, w części pozostały w rękach rodziny. Myśląc o wydaniu listów teścia J. Łepkowski zwracał się do wielu osób które utrzymywały z nim stosunki o dostarczenie mu odpisów posiadanej korespondencji. Wszystko to szczęśliwie ocalało i dostało się do rąk prof. Z. Grota, stanowiąc podstawowy trzon przygotowanej przezeń edycji. Historyk nie poprzestał jednak na tym co zgromadzili Łepkowscy: uzupełnił zbiór listów fragmentami epistolograficznymi odnalezionymi w różnych bibliotekach oraz uzyskanymi od osób prywatnych.

Edycja przygotowana została pieczołowicie, choć nieco oszczędnie. Wydawca podał wszystkie odszukane przez siebie listy w pełnym, integralnym tekście nie opuszczając formuł grzecznościowych i podpisu. Sporo spośród listów K. Libelta było pisanych po niemiecku: te znalazły się oczywiście w języku oryginału, bez tłumaczenia. Aparat krytyczny zastosowany przez wydawcę jest dwojakiego rodzaju: składają się nań komentarze tekstologiczne — zaznaczające luki w tekstach skreślenia cenzury itp. — oraz przypisy objaśniające sprawy o których jest w listach mowa. Tych ostatnich jest bardzo niewiele, mniej — i to znacznie — niż w innych edycjach epistolograficznych. Nie wiem, czy to dobrze. Wydaje mi się że skoro wykonano już taka wielka pracę można było znaleźć jeszcze nieco miejsca na bardziej rozbudowane objaśnienia. Niewyjaśnionych pozostało mnóstwo osób występujących w korespondencji filozofa, nie powiedziano niemal słowa o wielu wydarzeniach, w które był on uwikłany... Oczywiście — nie ma róży bez kolców — w komentarzach opracowanych przez Z. Grota zdarzają się — co prawda niezmiernie rzadko — drobne potknięcia. Aby nie być gołosłownym podam jeden przykład. W liście z Berlina, datowanym według wydawcy 13 grudnia 1868 r., powiada Libelt o tym, że Władysław Plater odezwał się doń „w sprawie pomnika przezeń wystawionego w Rapperswilu", co wydawca objaśnia: „mowa o przyszłym muzeum w Rapperswilu". Jest to niezbyt szczęśliwe, chodzi bowiem jeszcze nie o Muzeum Narodowe Polskie, utworzone staraniem W. Platera w tej szwajcarskiej miejscowości, ale o pomnik w ścisłym tego słowa znaczeniu, nazwany „Monument Polonais" wystawiony tam dla upamiętnienia walk narodu polskiego o niepodległość, o tzw. „Kolumne Barska", istniejąca po dziś dzień na zamkowym podwórcu. Widnieje na niej napis, ułożony przez Kornela Ujejskiego: „Niespożyty duch polski stuletnia krwawa walka protestujący przeciw ciemiężącej go przemocy z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości Boga i świata". O tym właśnie pomniku wspomniał K. Libelt w przytoczonym liście...

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga „Listy" wybitnego myśliciela ukazały się w kontynuowanej przez wydawnictwo bardzo wartościowej serii wyróżniającej się jednolitą, udaną formą edytorską. Do niedawna seria ta obejmowała tylko pamiętniki. Dobrze, że rozszerzono ją o epistolografie. Po edycji listów Ignacego Domeyki pojawiły się omawiane „Listy" K. Libelta. Oby tak dalej.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ZOFIA LORENTZ

CHCIAŁAM ZAPOMNIEĆ

...nie wiedziałem, że wojna nigdy się nie kończy dla tych, którzy brali w niej udział...

(Malaparte)

Ostatni raz widziałam go zimą 1944 roku, kiedy przyniósł mi na plecach z Pragi na Powiśle worek węgla. A nie miał przecież prawej ręki i lewej nogi. Amputowaliśmy mu je we wrześniu 1939 roku w szpitalu polowym nr 4 Dowództwa Obrony Warszawy. W czasie okupacji, jako ciężko poszkodowany inwalida, dostał pracę nocnego dozorcy placu z węglem. Przyniósł mi ten ukradziony z placu węgiel, bo dowiedział się od mego synka, z którym żył w przyjaźni, że wyczerpał się nam zapas węgla, a kupić nie mieliśmy za co. Później, wiosną, przestał przychodzić. Bo nie miał czasu. Zwierzył mi się, że jest teraz instruktorem od różnej broni. Odnalazł go bowiem kpt. Wdowiński z macierzystego PAL. Powiedział mu: „Chociaż żeś kaleka, ale się do tej roboty nadasz. Na ulicy Listopada na Pradze mieszkając, w oficynie, w głębokim podwórzu — punkt masz dobry i miejsca dość, żeby się parenaście chłopaków na zbiórkę mogło zgromadzić".

Podziwiałam jego witalność, stracił przecież tyle krwi, przeżył dwie amputacje...

Rozpoczynałam właśnie dyżur. Obrzuciłam go szybkim spojrzeniem i chwyciłam za nożyczki, wiszące mi u paska.

— Dajcie no spokój — powiedziałam do sanitariuszy, którzy próbowali mu rozpiąć bluzę. — Zdjąć się nie da. Trzeba ciąć.

Lepki od krwi drelich żołnierski opierał się nożyczkom, praca mimo pośpiechu szła powoli. Z mocno opalonej twarzy chłopaka wyglądały jasnoniebieskie oczy. Patrzyły spokojnie, trochę kpiarsko.

— Nie było tam gdzie w pobliżu jakiej siostry, żeby ci krwotok wstrzymała?

— A nie było.

— A co to masz w kieszeni takiego twardego?

— A gruszki — roześmiał się.

— Niechże cię — mruknęłam, wyjmując ostrożnie z kieszeni chłopca dwa ręczne granaty... I dalej ze strzępów drelichu wyłuskiwałam delikatnie młodzieńcze ciało, z którego wyciekła już chyba połowa krwi.

W tym momencie nadszedł komendant: — Co, jeszcze nie na stole? — powiedział z przyganą. Ale jedno spojrzenie na rannego sprawiło, że ton głosu jego złagodniał.

— Zostawcie — powiedział do sanitariuszy, którzy schylili się, by podnieść rannego. Komendant był wysokim, silnym mężczyzną. Schyliwszy się do ziemi podniósł umiejętnie rannego i ostrożnie ułożył na prowizorycznym stole operacyjnym.

— Pan dochtór je mocny chłop — pochwalił go chłopak.

— Ale cię zharatało, bracie — powiedział komendant niby to żartobliwie badając uważnie rozmiar okaleczenia.

Sprawa nie musiała być prosta. Polecił wezwać dr Walickiego. Od paru już dni cywilny chirurg, doktor Walicki pracował w szpitalu nr 4. Znalazł się tu przygodnie. Wszedł kiedyś, zobaczył, jak tu jest — i został. Teraz razem z komendantem stał nad tym chłopakiem w jakiejś rozterce.

— W jakich to stronach tacy chłopcy rosną? — spytał po chwili tonem podziwu.

— A w Kaliskim — odparł ranny wciąż jeszcze wesoło.

— Jak tu krajać takie ciało — westchnął komendant.

— Na dobrą sprawę i rękę i nogę — dodał dr Walicki.

— Może nogę udałoby się uratować?

Rozmawiali bardzo cicho, ale w spokojnych dotąd oczach rannego pojawił się nagle lęk.

— Siostro — proszę mu dać morfiny...

— Panie lekarzu — zaczął niepewnie chłopak.

— Nogę będziemy próbowali ci ratować, ale rękę muszę ci odjąć chłopcze.

— A czymże ja będę robił? — zdumiał się chłopak. — Ze wsi jestem, a pan dochtór mi chce prawą rękę ująć?

— Ona i tak już jest do niczego, ledwo się trzyma — perswadował łagodnie komendant. — Siostro, narkozę!

Ranny wodził oczyma po obecnych, jakby w ich spojrzeniu szukał ratunku.

— Nic się nie bój. Nie będzie bolało — pocieszał dr Walicki.

— Mnie się o ból nie rozchodzi — odpowiedział chłopiec zmienionym głosem. Czoło pokryły mu kropelki potu. Starłam je delikatnie, po czym szybkim ruchem nałożyłam mu na twarz maskę z chloroformem. Chłopak wzdrygnął się jak pod uderzeniem i resztką sił poderwał się ze stołu do połowy ciała. Wtedy druga siostra, stojąca w pogotowiu z długim ręcznikiem skręconym w powróz obezwładniła chłopca i przywiązała przez pierś do stołu operacyjnego.

Źle się jednak stało, że nie amputowano mu jednocześnie i nogi: odłamek żelaza tkwiący bardzo głęboko w kolanie, wzbierał wprawdzie ropą, potem powodując straszliwe bóle, nie zdołał się przecież wydobyć na wierzch. I biedny Widelka cierpiał nieznośnie, gorączkując do 40 stopni. Mimo to, już po kilku dniach począł się wyróżniać spośród innych pacjentów nie tylko męstwem w zwalczaniu bólów. Gdy inni ranni leżeli w milczeniu, zatopieni wyłącznie we własnym cierpieniu, i nim tylko zajęci — on interesował się wszystkim i wszystkimi. I gadał. Bo był rzadko spotykanym w tak młodym wieku (miał 21 lat) gadułą. I zdawać by się mogło, że to jego głośne gadanie powinno przeszkadzać lub drażnić innych, tymczasem rzecz się miała odwrotnie i właśnie jego chwilowe milczenie wywoływało niepokój. Bo przecież rozprawiał nie tylko w chwilach słabszego ostrzału artyleryjskiego, czy dalekiego bombardowania, ale i wtedy gdy słychać było chichot przelatującego nad dachem pocisku lub wycie pikującego w pobliżu samolotu.

— A czegóż to on nic nie gada? — dopytywali się ci z dalszych kabin.

Widelka zabierał głos we wszystkich sprawach szpitalnych, omawiał rzeczy, jakie się działy na zewnątrz, mówił co sądzi o rządzie, który „puścił naród, „a jeszcze meble wzięli ze sobom", o ministrze wojny, nawet o naczelnym wodzu, Rydzu-Śmigłym. O naszym komendancie natomiast wyrażał się z najwyższym uznaniem, bo każdego wyrozumie, a prostego żołnierza na równi ma w szpitalu z szarżą. Gadał także o wsi, o robocie w polu, o żniwach, co nie były jeszcze skończone, gdy „chłopów brali do wojska". Lubili go wszyscy, a najbardziej sam komendant.

Po powstaniu, a także po wyzwoleniu nie wróciłam już do Warszawy: mój dom był spalony, a jedynym bagażem, jaki wyniosłam z ruin była staruszka-matka i 10-letni synek. Osiedliłam się w Łodzi, gdzie łatwo znalazłam pracę i dach nad głową.

Po Widelce ślad zaginął.

Mijały lata. Zmieniał się świat. Ważne wydarzenia goniły jeszcze ważniejsze. Rosło młode pokolenie, co nie zaznało wojny. Przeszłość powoli odchodziła w cień. A we mnie wciąż żyła pamięć przeżyć wojennych. Nocami śniły mi się czasem pożary, wzniecane bombami zapalającymi, słyszałam wycie pikujących samolotów, budziłam się nieraz tak zmęczona jak po nocnym dyżurze z bólem rąk i grzbietu jakby od dźwigania rannych...

„Muszę się tego pozbyć — postanawiałam w cichości ducha. — Ale jak?" I wtedy zaczęłam pisać o tamtych dniach grozy i największego wysiłku. Myślałam: „Jeszcze raz przeżyć to wszystko. Niech to do mnie wróci i niechaj spróbuję odtworzyć przeżyte i widziane, ludzi z którymi razem... ten ciasny lokal szpitala polowego na ulicy ks. Skorupki, wypełnionego cierpieniem, ale i męstwem znoszenia go bez skargi, bez wymagań... I niech to potem ode mnie odejdzie.

Pisałam bardzo długo: nawał wspomnień rozsadzał formę literacką. Zaczynałam i odkładałam na później. I znów wracałam, żeby inaczej, żeby nie ulec łatwiźnie fikcji literackiej, żeby opowiedzieć tak, jak było naprawdę.

Gdy po trzydziestu ośmiu latach ukazała się w druku moja „Wrześniowa ballada" odetchnęłam.

Nie zastanawiałam się już, jak zostanie przyjęta przez czytelników. Literatura faktu jest teraz w modzie, może więc ktoś pożałuje Wielka, rannego w brzuch, który nie chciał umierać, mając zaledwie 20 lat, albo Icka Fajbusia, który chciał się dowiedzieć przed śmiercią, czy Hitler to też człowiek? Albo przywiezionego spod Kutna porucznika, który nie umiał przeżyć klęski? A ja przestanę wreszcie o nich myśleć?

Aż tu pewnego dnia, a ściśle mówiąc dwudziestego drugiego grudnia ubiegłego roku zjawił się ktoś, kto kazał mi oznajmić, że przysyła go do mnie... Czesław Widelka!

— Kto?

Potrzebowałam dłuższej chwili, żeby ochłonąć z zaskoczenia. Myślałam o nim nieraz, ale jako o zmarłym. Jakżeby mógł żyć tak długo po tak strasznym upływie krwi, nie zasilonej żadną transfuzją, w tak strasznym kalectwie, bez ręki i nogi...

Tymczasem nie tylko żył, ale założył rodzinę, a o mnie opowiadał jak o kimś najbliższym, kto go ratował sprzed progu śmierci.

Właśnie niedawno ktoś, kto go znał, przeczytał moją „Wrześniową balladę", i pospieszył z wiadomością, że jest taka książka, w której pisze się o nim. Bo i imię to samo, i nazwisko, nieczęsto przecież spotykane.

Widelka ma przyjaciela: jest nim jego podkomendny z konspiracyjnego baonu por. Wdowińskiego, zaledwie o trzy lata od swego szefa młodszy.

Wtedy na Pradze, ulica Listopada nr 5, długie, wąskie podwórze... stamtąd — do Puszczy Kampinoskiej z karabinem maszynowym na próbne strzelanie... Ten siedemnastolatek prócz tych ćwiczeń, jeszcze pomocą był ojcu przy tajnej drukarni. Ktoś go sypnął. Aresztowany na moście Poniatowskiego z materiałem obciążającym. Wiadomo o nim było potem tylko, że katowany w Alejach Szucha — nikogo nie wydał. A był już rok 1943. Wkrótce Widelka zapomniał o nim w nawale wydarzeń jakie się przez Polskę przewalały. Siedemnastoletni uczestnik kursu strzeleckiego z ulicy Listopada musiał być jednak nie tylko dzielnym, ale twardym jak stal, skoro przetrwał trzy obozy zagłady i w 1945, wrócił do kraju.

Nie znam okoliczności, w których ci dwaj spotkali się po wojnie. Jeżeli po trzydziestu paru latach utrzymują ze sobą bliski kontakt — to coś o nich mówi. Nic też dziwnego, że pan B. wiedział od razu, o kogo chodzi, gdy się do niego zgłosił Widelka o odszukanie pisarki, Zofii Lorentz, co jest tyle wspominaną siostrą ze szpitala polowego nr 4.

I oto przedstawia mi się podkomendny Widelki z tajnego kursu strzelania, z tej grupy, którą ćwiczył u siebie na Pradze, w podwórzu przy ulicy Listopada i w Puszczy Kampinoskiej. A w dwa dni później zjawiają się obaj. Czas stanął. Przyglądam się Widelce, a on mnie, z tym samym, dobrze zapamiętanym uśmieszkiem na pół kpiącym, na pół serdecznym. Twarz okrągła i czerstwa, tyle, że pełniejsza niż dawniej, bardziej męska, te same jasnoniebieskie oczy dobrodusznie patrzące, zmarszczek niewiele i, co najbardziej zdumiewające — żołnierska postawa.

Gdy siedliśmy potem do kolacji rozpoczęła się rozmowa i tu okazał się Widelka w swej dawnej świetności: dawnym gawędziarskim tonem popłynęła opowieść: „jak mu się wiodło, co bez ten czas robił, jak się mają rzeczy na świecie i u nas, co on o tym wszystkim uważa", z taką samą pewnością swojej racji, jak niegdyś. Słuchaliśmy go wszyscy niczemu nie przecząc, nie prostując, jak tamci, w szpitalu, a gdy zamilkł czekałam, że za chwilę któryś się upomni: „a czegoż to on przestał gadać?"

No, i powiedzcie sami: da mi ten Widelka zapomnieć o wojnie?

JERZY WILMAŃSKI

MARATON

Monotonna gonitwa gdy świt się kolebie
w koleinach poranka. Nogi same niosą.
Monotonny wysiłek, gdy sprawdzamy siebie
w maratonie ulicznym — świtem, dniem i nocą.

Meta w mroku. Punkt startu spowija milczenie.
Odeszli kibice kryjąc opuchnięte dłonie.
Sędzia milczy — a może naprawdę nic nie wie.
Widzowie się znudzili, teraz śpią spokojnie.

Monotonna gonitwa gdy świt się kolebie
w koleinach poranka. Nogi niosą same.
Gwałtownie gasną gwiazdy w idyllicznym niebie,
pył księżyca wiatr sypie w zatrzaśniętą bramę.

Milczenie tchórza biegnie z milczeniem herosa,
jednakowo bezradne i jednako nieme.
Na metę Klio różę czerwoną przyniosła,
siadła na pustej ławce i zmęczona drzemie.

OBLĘŻENIE

Rankiem groźne bombardy wtaczają na wały
i pod mury podchodzą wilki wygłodniałe

To twój dom — twoja twierdza
to kość słaba i krucha to worek osierdzia

A tu cię osaczają już lotne brygady
radary i lasery, piki, halabardy

To twój dom — twoja twierdza
Tyle ci zostało
kość jeszcze nie pęknięta i worek osierdzia
A powietrza za mało
tlenu wciąż za mało

Kurzu bitewnego dławią cię tumany
i chwieje się chorągiew na spękanej baszcie

Czcionki na komunikat żeś został pojmany
oczekują cierpliwie w metalowej kaszcie

SONET

Czego bym nie powiedział, zabrzmi to ostrożnie.
Jeśli krzyk — to półgłosem, jeśli szept — zdławiony.
Mięsień mego języka jak szaszłyk na rożnie
przebity ostrą szpadą i na wpół spalony

Wychodzą z mojej krtani tylko słowa małe
skazane na nonparel, perl, brylant i diament.
Czego bym nie dotykał — to gesty nieśmiałe
niepotrzebne i nieme, choć dokoła zamęt.

Takie mego pisania są pochyłe losy
zamknięte w niedokształtność, niemoc i niedosyt.
Wiersz się jak stół krzywy chyboce i chwieje.

W opłotkach metafory kury sonet gdaczą
na pochylone wiersze młode kozły skaczą...
Takie mego pisania są pochyłe dzieje.

SZALEŃSTWO

Znów mnie nawiedza dławiące szaleństwo
Magia przezroczysta w kruchym szkliwiu śpiewa
Jak drewniana kukiełka malowana pstro
Wirujesz pośród miasta z nieczułością drewna

Nocą farba się łuszczy — spada na trotuar
Miękkie drewno obnaża linie szarych słoi
Na skali termometru rosną niepokoje
Ktoś się tylko zapyta — zasnął czy też umarł?

A kukiełka stukoce pusto pośród miasta
Księżyc się zapalił — gwiazda z sykiem zgasła

WYZNANIE

A tyś jest moja jesień
moja zima biała
mój park oszroniony
i wiosenna rosa

Tyś mój powszedni banał
moje zachwycenie
moja wiosna ostatnia
kiedy umrę wiosną
i zima ostateczna
która mnie przysypie
i lato parujące
które mnie spopieli

Tyś jest zawsze jedna
w czterech stronach świata
w wygaszanych światłach
nocy niepodległa

LEONID I. BREŻNIEW

MAŁA ZIEMIA

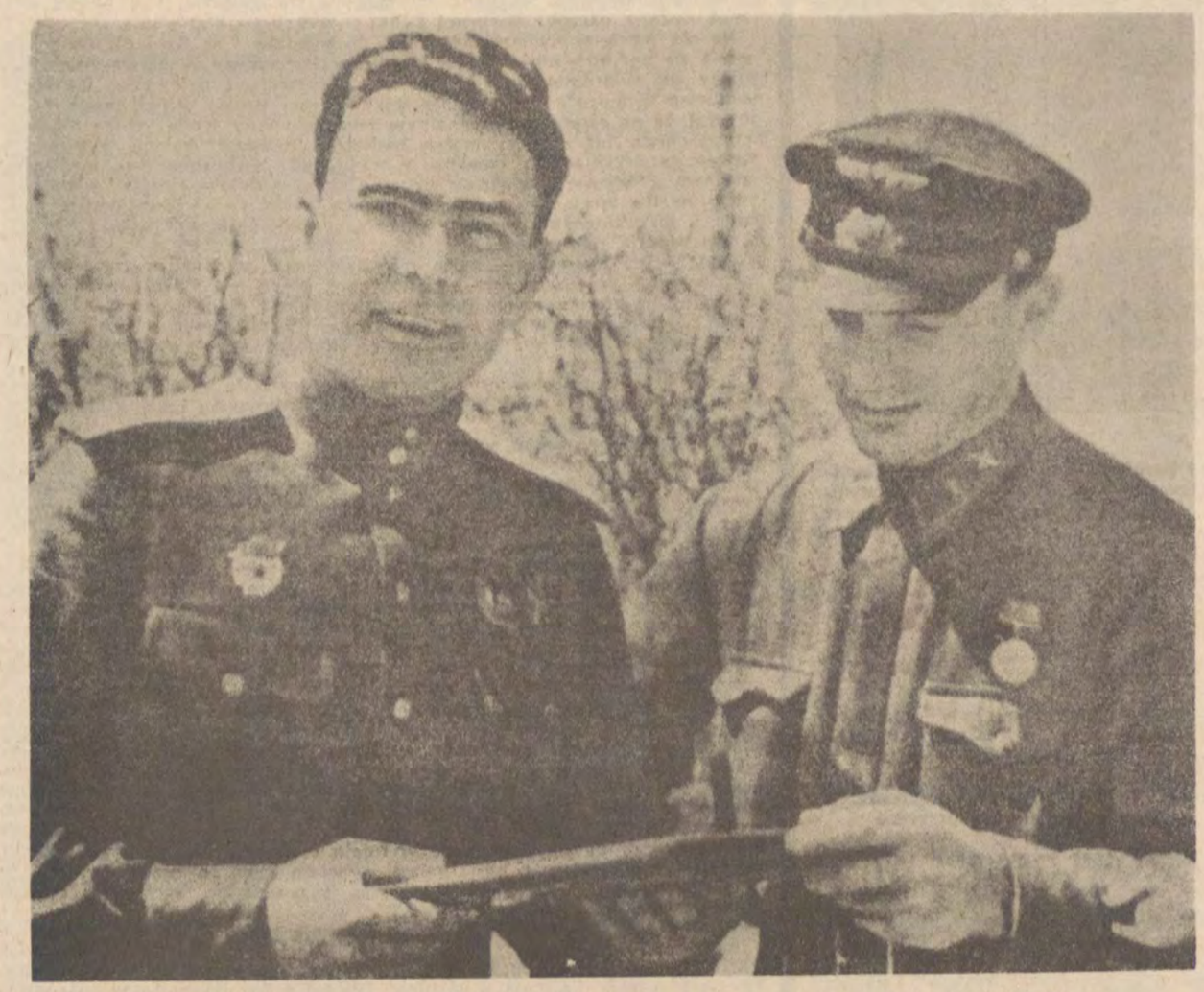

Foto: Archiwum

Publikujemy następny fragment wspomnień Sekretarza Generalnego KC KPZR, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, marszałka Związku Radzieckiego, LEONIDA ILJICZA BREŻNIEWA. Wspomnienia te dotyczą walk toczących się w Zatoce Cemesskiej na Morzu Czarnym w 1943 roku.

Przekładu dokonał Eugeniusz Iwanicki, według tekstu zamieszczonego na łamach „Litieraturnoj Gaziety".

7.

Sześć dni i nocy trwały walki w Noworosyjsku. Nie będę wymieniał numerów oddziałów i związków taktycznych, nie będę przytaczał cyfr. Szturm został dokładnie opisany w literaturze wojenno-historycznej. Ważne jest odnotowanie czegoś innego: zapał i zaciekłość nacierających żołnierzy były tak wielkie, że nic ich już nie mogło powstrzymać. Co dzień, co godzina byliśmy świadkami wielu czynów. Bodaj o jednym z nich muszę opowiedzieć.

Trzykrotnie kompania piechoty morskiej atakowała faszystowskie umocnienia. Bez powodzenia. Dowódca kompanii, Iwanow, postanowił powołać ochotniczą grupę szturmową, by dokonać wyłomu. Składała się ona z jedenastu ludzi z organizatorem partyjnym kompanii, Walliulinem, na czele i innymi czterema komunistami. Zdecydowanym uderzeniem grupa ta złamała obronę wroga, za nimi rzucili się żołnierze. Jednakże już przy końcu ulicy zatrzymał ich ogień z flanki. Wówczas Walliulin powiedział do sierżanta Diaczenki: „Kiedy umilknie karabin maszynowy, podrywaj ludzi do ataku". I poczołgał się. Tuż przed oknem piwnicy, skąd strzelał karabin, został trafiony. Okrwawiony, rzucił się na okna. Rubież został zdobyta.

Sałachutduna Walliulina znałem dobrze z Małej Ziemi, był jednym z lepszych organizatorów partyjnych. Podpisując wniosek o jego odznaczenie, myślałem o istocie takich czynów. Niewątpliwie ten człowiek zdawał sobie sprawę, że idzie na pewną śmierć, ale wątpię, by w tym momencie mówił sam do siebie: „Za chwilę dokonam bohaterskiego czynu". O nie, nie była to odwaga na pokaz, lecz bohaterstwo bez słów, powiedziałbym nawet — skromne, jakie szczególnie cenił Lew Tołstoj, sądząc po jego powieści „Wojna i pokój". Czyn także był w duchu tołstojowskim: człowiek czyni to, co powinien czynić, nie bacząc na nic.

Oczywiście, strach jest rzeczą ludzką, to zrozumiałe. Lecz decyzja w krytycznej minucie zjawia się sama, poprzedzona przygotowaniami w ciągu całego dotychczasowego życia. Znaczy się — istnieje jakaś granica, jakieś jedno mgnienie, kiedy w żołnierzu-patriocie świadomość obowiązku wobec ojczyzny zagłusza uczucie strachu i ból, i myśl o śmierci. To znaczy, że nie jest to działanie nieświadome, a przekonanie o słuszności i wielkości sprawy, za którą człowiek oddaje własne życie.

„Przekonanie o sprawiedliwości wojny — pisał W. I. Lenin w latach wojny domowej — świadomość konieczności ofiary własnego życia dla dobra swoich braci podnosi ducha żołnierzy i zmusza ich do wytrzymywania niesłychanych ciężarów... Tłumaczy się to tym, że każdy robotnik i chłop, powołany pod broń, wie za co idzie walczyć i świadomie przelewa swoją krew w imię triumfu sprawiedliwości i socjalizmu".

Te znakomite leninowskie słowa głęboko i wiernie ujawniają źródła moralnej siły ludu, źródła nieśmiertelnego czynu naszego narodu, czynu, którego dokonał w latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w imię triumfu sprawiedliwości i socjalizmu.

16 września Moskwa uczciła salutem waleczne wojska Frontu Północnokaukaskiego i Floty Czarnomorskiej. Wielka konfrontacja została zakończona. Na gołym skrawku, z maleńkim osiedlem Stawiczki, nasi żołnierze wytrzymali siedmiomiesięczne oblężenie i zwyciężyli. Hitlerowcy zajmowali duże miasto, zamienione w niedostępną twierdzę, lecz myśmy ich stamtąd wyrzucili w ciągu sześciu dni.

Ojczyzna wysoko oceniła bezprzykładną odwagę i męstwo wyzwolicieli miasta. 19 związkom taktycznym i jednostkom nadano miano noworosyjskich. Tysiące żołnierzy i oficerów nagrodzono orderami i medalami Związku Radzieckiego. Dziesiątki żołnierzy, którzy dokonali wielkich czynów, otrzymało zaszczytne tytuły bohaterów Związku Radzieckiego.

Desant noworosyjski, w którym uczestniczyły wszystkie rodzaje wojsk, był jednym z większych desantów w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej.

Bitwa o Noworosyjsk weszła do historii minionej wojny, jako jeden z przykładów nieugiętej woli zwycięstwa ludzi radzieckich, żołnierskiego nieustraszonego męstwa, bezgranicznego oddania partii leninowskiej, socjalistycznej ojczyźnie.

Rozkazu Naczelnego Dowództwa wysłuchałem przez radio, siedząc w na wpół rozwalonym budynku, gdzie rozlokował się Komitet Miejski Partii. Wiecu dla ludności miasta nie organizowaliśmy: ludności nie było. Później chodziliśmy po ulicach, ale ulic także nie było. Ruiny. Całe miasto — to jedno pogorzelisko. W jakiejś piwnicy odnaleźliśmy staruszkę z kotką. I to wszystko. Pamiętam, że był tam elewator, obok klub marynarzy. Poprzedniego dnia faszyści wzięli do niewoli naszych, spędzili ich w to miejsce, i oblawszy naftą — spalili. Widok straszliwy.

Pracowali saperzy, rozbrajali i wywozili tysiące min, fugasów, niewypałów bomb i pocisków. Zrywali napisy: „Każdy wykryty w tym mieście mieszkaniec zostanie na miejscu rozstrzelany". Faszyści bali się naszych ludzi... Przed klubem marynarzy było pole kartoflane. Poszedłem tam. Kołonin pyta:

— Dokąd leziesz?

— Jesteś członkiem Rady Wojennej, — odpowiedziałem — a ja szefem oddziału politycznego. Powinienem iść dwa kroki przed tobą.

Po wyzwoleniu Noworosyjska chciało się bodaj chwilę odpocząć, lecz zatrzymać się nie mogliśmy nawet na godzinę. Pomyślny szturm stworzył możliwość natarcia na całym przyczółku. Niemcy dosłownie uciekali pod naciskiem naszego wojska, zdobyliśmy tzw. Czarcie Wrota, otworzyła się droga na Anapę. Dowództwo hitlerowskie zmuszone było operację „Krymhilda" (planowano przerzut wojska z Półwyspu Tamańskiego) zamienić na „Brunhildę" (pośpieszną ewakuację). Lecz i ta mityczna dama im nie pomogła.

O świcie pędziliśmy drogą, kiedy zameldowano, że przed nami nasze lotnictwo szturmuje jednostki niemieckie. W samochodzie jechał Kołonin, Zariełua, ja oraz adiutant Krawczuk. Prawdopodobnie wyrobiłem już w sobie ten szczególny zmysł, jaki rodzi się u ludzi przebywających w ciągłym ogniu, bo krzyknąłem:

— Chłopcy, za chwilę nas zbombardują! Padnij!

Wyskoczyliśmy, padliśmy obok drogi, lecz mimo to o mało nie oberwaliśmy od własnego lotnictwa. Ale pilotów w takim wypadku nie ma co winić: po prostu panował wówczas ogromny entuzjazm ofensywy, wszyscy rwali się do przodu.

21 września 1943 roku związki pancerne i piechota naszej armii silnym uderzeniem wyzwoliły miasto i port Anapę — główny węzeł oporu wroga na drodze do Krymu. Napór był tak gwałtowny, że okupant zostawił cały swój sprzęt, zagrabione przez siebie mienie, a nawet przygotowanych do wyjścia w morze sześnaście statków z ropą naftową.

Ofensywny poryw naszych wojsk rósł z każdym dniem. Entuzjazm w połączeniu z doświadczeniem zdobytym w walkach był potężną, niezwyciężoną siłą. Jednakże w żadnym wypadku nie można twierdzić, że sukces przychodził łatwo. Mieliśmy przeciwko sobie fanatyczne, silne, dobrze uzbrojone jednostki hitlerowskie. Chcąc wygrać na czasie, starannie umocnili swoje ostatnie rubieże na przedpolach Krymu, z zaciekłością straceńców, czepiając się każdej miejscowości, każdego wzniesienia. Jedynie w wyniku nieustającego naporu armii Frontu Północnokaukaskiego, okrętów, piechoty morskiej i lotnictwa Floty Czarnomorskiej i Flotylli Azowskiej, 9 października 1943 roku Półwysep Tamański był ostatecznie wyzwolony.

Na brzegu Cieśniny Kerczeńskiej ujrzeliśmy wstrząsający obraz bestialstwa hitlerowców. Razem z grupą dowódców spoglądałem przez lornetkę na ledwo widoczne, oddalające się okręty transportowe przeciwnika. Widzieliśmy wyraźnie, jak przemknęły, przecinając im drogę nasze bombowce i myśliwce. Lecz osiągnąwszy cel samoloty zawracały i odlatywały. Nic nie rozumieliśmy. Wkrótce piloci zameldowali: „Pokłady statków pełne są dzieci i kobiet". Piloci nie mogli rzucać bomb, bowiem zapędzeni siłą na pokład ludzie, stanowili osłonę dla faszystów ukrytych w ładowniach.

Przed nami był Krym. Wojsku odczytano rozkaz nr 51 z 9 października 1943 roku, dowódcy Frontu Północnokaukaskiego:

„Sławny i chlubny jest szlak bojowy wojsk 18 Armii — głosił rozkaz. — Bohaterskimi walkami na Małej Ziemi, Myschako, w górach pod Noworosyjskiem, śmiałym i zuchwałym szturmem miasta i portu Noworosyjska jest zaznaczona droga chwały 18 Armii. Wojska 18 Armii opanowawszy miasta: Anapa, Tamań, jako pierwsze wykonały bojowe zadania rozgromienia wroga na Półwyspie Tamańskim".

W nocy z 30 października na 1 listopada 1943 roku na wody Cieśniny Kerczeńskiej wpłynęły okręty desantowe z żołnierzami 318, teraz już Noworosyjskiej Dywizji Piechoty. Podczas silnego sztormu, pokonawszy 30-kilometrowy pas pola minowego, pod nieustannym ogniem artyleryjskim, pomyślnie wylądowali na krymskim brzegu, w rejonie osiedla rybackiego Eltigen, w pobliżu Kerczu.

Przed wylądowaniem, przedstawiciel Naczelnego Dowództwa, marszałek S. K. Timoszenko, powiedział, że powodzenie desantu 318 Dywizji to rękojmia wyzwolenia Krymu. Jak wiadomo, jego słowa w pełni się sprawdziły.

Właściwie to jest wszystko, co wiąże się z pojęciem „Mała Ziemia". To jedna ze stronic Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Zaledwie jedna stronica, ale niezapomniana.

Na rozkaz Naczelnego Dowódcy załadowaliśmy się do pociągów, przechodząc do dyspozycji 3 Frontu Ukraińskiego. Po walkach na Małej Ziemi, po szturmie Noworosyjska, wydało nam się to prawie odpoczynkiem. Ale życie na wojnie jest zmienne. Los przeznaczył nam zupełnie co innego.

6 listopada 1943 roku, wyzwoliwszy Kijów, nasze wojska w ciągu 10 dni przesunęły się na zachód o 150 kilometrów. Wyrzuciły nieprzyjaciela z wielu miejscowości, w tej liczbie z Żytomierza i Fostowa. Zostały przecięte ważne drogi komunikacyjne, wiążące grupy armii „Centrum" i „Południe". Niebezpieczeństwo w zaistniałej sytuacji było dla wojsk niemieckich oczywiste. Niemiecko-faszystowskie dowództwo, przerzuciwszy świeże siły z Francji, ześrodkowało na południe od Żytomierza i Fostowa 15 dywizji pancernych zmotoryzowanych i piechoty. Jasny stał się więc plan hitlerowski: wykonać uderzenie z południowego-zachodu, zlikwidować nasz przyczółek na prawym brzegu Dniepru i ponownie zająć Kijów. Faszystom udało się przełamać front i powtórnie zająć Żytomierz.

Zatkać tę wyrwę, zatrzymać ruch przeciwnika — to zadanie zostało powierzone naszej 18 Armii, armii pancernej Katukowa oraz innym związkom taktycznym. Zawróciliśmy z drogi i ruszyliśmy w kierunku 1 Frontu Ukraińskiego, którym dowodził generał N. F. Watutin. W tym czasie wróg znajdował się na 74-tym kilometrze szosy żytomierskiej, w drodze do stolicy Ukrainy.

Pierwszy odszedł pociąg, w którym znajdowała się Rada Wojenna, Sztab Armii i oddział polityczny. Za nim jechały pociągi ze związkami taktycznymi i jednostkami armii. Jechano szybko, zatrzymując się jedynie dla zmiany parowozów. W nocy minęliśmy stację Bagiej, zaledwie 6 kilometrów od Dnieprodzierżyńska. Zatrzymaliśmy się na następnej stacji, także zupełnie blisko. Tak oto wróciłem w rodzinne strony.

Wyszedłem z wagonu. Było wietrzno, zimno, dookoła ciemność choć oko wykol. Wpatrywałem się w ciemność i zdawało się, że zapachniało dymem rodzimej „Dzierżynki" — zakładów, w których pracował ojciec, w których ja także zaczynałem początkowo — jako palacz, później już jako inżynier działu energetycznego. Jakże mocno mnie ciągnęło, jak chciało się wpaść bodaj na jeden dzień, na godzinę, na parę minut. W przeddzień otrzymałem list od matki — wróciła już z ewakuacji. Z listu wyczuwało się, że przeżyła wiele.

Ale parowóz krótko gwizdnął i trzeba było wskoczyć do wagonu. Do domu trafiłem i zobaczyłem bliskich dużo później, już po wojnie...

KONIEC

„Cień" Wojciecha Młynarskiego wg. Eugeniusza Szwarca w Teatrze Nowym. Od lewej: Bogdan Baer (Minister Finansów), Sławomir Misiurewicz (Premier), Marek Barbasiewicz (Uczony), Andrzej Żarnecki (Jego Cień), Ryszard Dembiński (Pietro), Janusz Kubicki (Cezar Borgia). *Foto: J. Neugebauer*

SREBRNA ŁÓDKA I SREBRNY PIERŚCIEŃ 1978

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru 1978 jury w składzie: **Krystyna Kondratiuk** (przewodnicząca), **Andrzej Czerny, Wanda Karczewska, Stanisław Kaszyński, Jerzy Katarasiński, Jerzy Panasewicz, Henryk Pawlak** i **Jadwiga Wendorf**; tradycyjną nagrodę SREBRNEJ ŁÓDKI za najlepszy spektakl roku ufundowaną przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi postanowiło przyznać przedstawieniu

„CIEŃ"

Wojciecha Młynarskiego wg Eugeniusza Szwarca, z muzyką Macieja Małeckiego, zrealizowanemu w **Teatrze Nowym** przez **Kazimierza Dejmka** — reżyseria, **Iwonę Zaborowską** — scenografia, i **Józefa Matuszewskiego** — choreografia.

Jako kontrkandydatury dyskutowane były spektakle „Zmartwychwstania" Lwa Tołstoja w **Teatrze Powszechnym** (reż. Lidia Zamkow), oraz „Dialogus de pasione" w **Teatrze Nowym** (reż. Kazimierz Dejmek).

Nagrodę SREBRNEGO PIERŚCIENIA za najciekawsze osiągnięcie aktorskie roku jury postanowiło przyznać

WIRGILIUSZOWI GRYNIOWI

za rolę Kelina Ababija w sztuce Iona Druce „Największa świętość" zrealizowanej w **Teatrze im. Jaracza**.

Teatrowi Nowemu, realizatorom i wykonawcom „Cienia" jak również Wirgiliuszowi Gryniowi — „Odgłosy" składają serdeczne gratulacje.

Symboliczna nagroda SREBRNEJ ŁÓDKI za najwybitniejszy spektakl roku ufundowana została w 1966 roku przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i postawiona do dyspozycji szerokiego jury w skład którego wchodzą działacze kultury teatrolodzy i recenzenci teatralni. Nagroda przyznawana jest corocznie z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru.

Dotychczas SREBRNE ŁÓDKI otrzymały następujące przedstawienia:

1966

„CALIGULA" A. Camusa reż. W. Gruza scen. Wł. Daszewski. Teatr im. Jaracza

1967

„SEN SREBRNY SALOMEI" J. Słowackiego reż. T. Minc scen. H. Poulain Teatr Nowy.

1968

„BEREZIACY" K. Obidniaka reż. R. Sykała scen. M. Stanczak. Teatr Powszechny.

1969

„RZECZ LISTOPADOWA" E. Brylla reż. R. Sykała scen. Z. Bednarowicz Teatr Powszechny.

1970

„ŻYCIE JEST SNEM" Calderona, reż. W. Zatorski, scen. H. Poulain. Teatr Nowy.

1971

„KRÓL MIĘSOPUST" J. M. Rymkiewicza, reż. W. Zatorski, scen. H. Poulain. Teatr Nowy.

1972

„IDIOTA" F. Dostojewskiego reż. S. Breidygant, scen. H. Poulain. Teatr Nowy.

1973

„HAMLET" W. Szekspira, reż. J. Maciejowski scen. Z. Wierchowicz. Teatr im. Jaracza.

1974

„KUBUŚ FATALISTA" D. Diderota, reż. W. Zatorski scen. J. Grzegorzewski Teatr Nowy.

1975

„POPIÓŁ I DIAMENT" J. Andrzejewskiego reż. J. Maciejowski scen. M. Garlicki i M. Wiśniewski. Teatr im. Jaracza.

1976

„OPERETKA" W. Gombrowicza reż. K. Dejmek scen. A. Majewski. Teatr Nowy.

1977

„SŁOŃ" A. Konkowa, reż. A. Kondratiuk scen. J. Banucha. Teatr Powszechny.

Począwszy od 1972 roku Wydział Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział w Łodzi do dyspozycji jury postawiło również nagrodę SREBRNEGO PIERŚCIENIA za wybitne osiągnięcie aktorskie roku.

Dotychczas SREBRNE PIERŚCIENIE otrzymali:

1972

BOGUSŁAW SOCHNACKI (Teatr Nowy) za role Rogozyna w „Idiocie" Dostojewskiego.

1973

MAREK BARGIEŁOWSKI (Teatr im. Jaracza) za role tytułowa w Hamlecie" Szekspira, oraz role Kreona w „Antygonie" Sofoklesa.

1974

JADWIGA ANDRZEJEWSKA (Teatr Powszechny) za role tytułowa w „Matce Courage" Brechta

1975

EWA MIROWSKA (Teatr im. Jaracza) za role tytułowa w sztuce Różewicza „Stara kobieta wysiaduje".

1976

ANDRZEJ MAY (Teatr Nowy) za role Onka w sztuce Mrożka „Garbus".

1977

JERZY PRZYBYLSKI (Teatr im. Jaracza) za role Augusta Strindberga w sztuce Enquista „Nocny trybad".

ZAPISKI KRONIKARZA

I oto kolejny już raz obchodzimy Międzynarodowy Dzień Teatru... W tym roku wypadł on dość niefortunnie, bo w drugi dzień świąt, uroczystości zostały tedy nieco przesunięte. We wtorek 28 marca przedstawicieli łódzkiego świata teatru przyjął I sekretarz KŁ PZPR — **Bolesław Koperski**, natomiast w środę 29 marca uliczka Brasławska leżąca w rejonie ulic Kopcińskiego i Banacha otrzymała imię zasłużonego łódzkiego aktora **Józefa Pilarskiego**. Jeszcze później, bo w sobotę 1 kwietnia, na tradycyjnym Balu Aktora wręczone zostaną nagrody **Srebrnej Łódki** i **Srebrnego Pierścienia.**

No cóż, pierwszy kwietnia to okazja do kawałów i na Balu Aktora z pewnością się bez nich nie obejdzie, bo słudzy Melpomeny — nawet ci specjalizujący się w dramatycznych rolach — obdarzeni są najczęściej wybornym poczuciem humoru i radzi płatają sobie psikusy. Ongiś istniał nawet piękny obyczaj, że na ostatnim pożegnalnym przedstawieniu, kiedy sztuka nieodwołalnie schodzi już z afisza można bezkarnie „gotować" kolegę, doprowadzając go na przykład do śmiechu w scenie, gdy wybuchnąć ma tragicznym szlochem. Publiczność wiedziała ponoć o tym i specjalnie potrafiła kupować bilety na ten właśnie ostatni spektakl, aby bawić się samowolnymi nadużatkami i zaskakującymi koncepcjami swoich ulubieńców.

Ano właśnie, publiczność...

Teatr — na upartego — może grać byle gdzie, w remizie strażackiej czy budzie zbitej prowizorycznie z desek, choć oczywiście i widzom i aktorom miłej jest w nowoczesnych, przestronnych, dobrze wyposażonych wnętrzach. Teatr — znów na upartego — może obyć się bez dekoracji, kostiumów, ba, nawet bez tekstów, bo można przecież improwizować, czy posługiwać się językiem pantomimy.

Jedno tylko potrzebne jest aktorowi, aby dokonało się coś, co nazywamy teatrem — widownia, tych kilkuset czy bodaj kilkunastu ludzi, którzy zechcą czuć, patrzeć i słuchać.

Dlatego też zamyśliłem sobie, że na Dzień Teatru porozmawiam z ludźmi teatru właśnie o publiczności, ale że owo święto przypaść miało pierwodnie akurat w śmigus-dyngus ze swoimi zapałami trafiłem przeto pod zimny prysznic. Pani Ewa Wycichowska jedynie spryskała mnie wprawdzie czyniąc to z kobiecą delikatnością i wdziękiem, za to Ryszard Sobolewski — być może po starej znajomości — chlusnął od razu całym wiadrem...

Co mówili, przeczytajcie Państwo obok, a starałem się notować możliwie wiernie, muszę się tu jednak zastrzec, że z ostatnim z miłych rozmówców nie mogę się ze wszystkim zgodzić. Oczywiście mamy inne pole obserwacji, bo on, jako aktor, dzień w dzień mierzy się z nową publicznością, czasami lepszą, czasami bardziej przypadkową i bardziej obojętną, gdy ja z natury rzeczy trafiam raczej na premiery, choć zdarza mi się bywać i na tak zwanych „szeregowych" spektaklach. I upierałbym się, że widownia w swoim przekroju jest coraz lepiej przygotowana do odbioru sztuk o dużej nawet skali trudności, że najczęściej potrafi bardzo dobrze, wnikliwie słuchać, choć istotnie reaguje raczej nieśmiało, z pewnym skrępowaniem po prostu.

Inna sprawa, że w zapale organizowania tej widowni popełniamy z pewnością błędy, goniąc za wykonaniem planu, zapominając o zasadzie, że lepiej żeby widz wcale nie przyszedł do teatru, niżli przyszedł na niewłaściwy spektakl. To się mści, mści już w czasie przedstawienia, gdyż ten „nie trafiony" widz będzie wiercił się w fotelu i smętnie spoglądał na zegarek, bo ludzie sceny odczują natychmiast, a potem mści po przedstawieniu bo ów zawiedziony i zniechęcony odbiorca z przypadku, zacznie zniechęcać innych.

A jeżeli troszczymy się i o dalszą przyszłość teatru, pomyślmy koniecznie o widowiskach dla dzieci, zwłaszcza dla dzieci starszych, niewypierzonych jeszcze dziewcząt i chłopców, którzy z bajek już wyrośli, a Fredry i Słowackiego jeszcze nie mają w lekturze. Dla tej grupy trzynasto- i czternastolatków są czasopisma, książki, filmy, ale w teatrze do obejrzenia nie ma kompletnie nic. A przecież to oni właśnie za pięć, dziesięć, piętnaście lat będą zapełniać — lub też nie zapełniać — widownię...

I tyle tych zapisków, nie do końca może świątecznych. Do nich dołączam życzenia — wielu sukcesów osobistych radości i dobrej, serdecznej publiczności, bo to wszystko w życiu aktora nierozerwalnie się przecież splata

JERZY PANASEWICZ

Teatr Powszechny. „Historia o sosnowym pieńku" baśń dla dzieci Jerzego Hornowskiego. Scena zbiorowa. *Foto: A. Brustman*

KARTA Z DZIEJÓW ŁÓDZKIEJ SCENY

6 stycznia 1844 roku odegrano pierwsze przedstawienie dla mieszkańców Łodzi, a w ciągu następnych lat siedemdziesiątych wzniesiono kilka budynków teatralnych, z których najwspanialszy był nie istniejący dzisiaj Teatr Wielki przy ul. Konstantynowskiej 16 (obecnie ul. Obrońców Stalingradu)

Istniały i inne sceny, przede wszystkim Teatr Polski dzierżawiony przez kolejnych dyrektorów od Polskiego Towarzystwa Teatralnego „Thalia" przy ul. Dzielnej 18 (dziś Narutowicza) dysponujące bardzo skromnymi warunkami i lokalowymi teatrzyki „Scala" — Cegielniana 16, „Ludowy" — Przejazd 34, „Nowoczesny" — Zielona 2, „Bagatela" — hotel Savoy" Krótka 6, a także kino-teatry.

Wybuch I wojny światowej i krwawe działania frontowe w sierpniu 1914 roku gwałtownie odmieniły jednak sytuację ekonomiczną miasta. Na 167 fabryk 153 zostało zamkniętych, bądź spłonęło, 135 tys. ludzi zostało pozbawionych środków do życia, a ilość mieszkańców Łodzi spadła niemal o połowę. W świetle tych faktów zadziwiające wydają się zainteresowania a nawet pasje teatralne publiczności i tak mało znana karta z dziejów łódzkiej Melpomeny chcemy dzisiaj przypomnieć.

W kilka miesięcy po wkroczeniu Niemców do miasta front oddalił się a choć oddziały wojska stacjonowały nadal, ludzie odczuli ulgę. Teatry, teatrzyki, kabarety i kinoteatry zapełniły się łaknącymi zabawy. Powodzenie kabaretów „Bi Ba Bo" „Momusa łódzkiego" kinoteatrów „Casino" i „Odeonu" sprawozdawcy teatralni wyjaśniali ciepłem panującym w salach. Utyskiwali zarazem że gmach Teatru Polskiego nie jest należycie opalany a dotkliwy chłód przeszkadza w odbiorze przedstawienia.

Prasa łódzka — co warto podkreślić — chętnie zamieszczała informacje o teatrze. Z kilku czasopism wychodzących w czasie wojny należy wymienić „Gazetę Łódzką" Kurier Łódzki" (od 1915 roku) Nowy Kurier Łódzki" jako te które ukazywały się w latach 1914 — 1918 bez przerwy systematycznie drukując recenzje oraz omówienia sezonów.

„Nowy Kurier Łódzki" z dnia 28 grudnia 1914 roku notuje: **„W danej chwili pożogi nikt nie troszczy się zbytnio kto gra, co gra i jak gra. Są jednak tacy wielu, którzy chcą się rozerwać szukać zapomnienia"** (Al. Nowakowski).

Początkowo w teatrach: Polskim i „Thalia" aktorzy zrzeszeni pod nazwą Artyści Zjednoczeni (przewodził im L. Szeier) wystawiali sztuki ludowe np. „Pan Twardowski" Jana Nepomucena Kamińskiego, Sąd dla belki" H. Mrozowicza „Wóz Drzymały" J. Raczkowskiego.

Niebawem repertuar ludowy na skutek zmiany sytuacji politycznej ustąpił miejsca sztukom narodowym dotąd zakazanym przez cenzurę. I tak 6 lutego 1915 r. Nowy Kurier Łódzki" nr 24 podaje informację że 7 lutego 1915 r. Stowarzyszenie Artystów Polskich wystawiło po raz pierwszy w teatrze „Thalia" sztukę Adama Mickiewicza „Konfederaci Barscy" w przekładzie T. Olizarowskiego zaś w 344 numerze „Nowego Kuriera Łódzkiego" czytamy uwagi o odbiorcach sztuk: **„Na widowni spotykamy ludzi ze sfer które się nigdy teatrem nie interesowały. Wciągnięcie tych mas w kadry publiczności teatralnej stanowi pewien plus pedagogiczny repertuaru kategorii aktualnej i daje wdzięczne pole na przyszłość dla teatru popularnego".**

Zespół podzielił się i rozrósł. Premiera 31 grudnia 1915 roku głośnego dramatu historycznego D. Mereżkowskiego „Car Paweł I" przedstawiła nowych artystów Teatru Polskiego wśród nich zaproszonego na gościnne występy J. Orlińskiego który później został dyrektorem teatru. Repertuar ustalił się po rozluźnieniu cenzury obejmował sztuki różnej wartości artystycznej. Pozycje kasowe grane w ciągu wielu lat to: „Kościuszko pod Racławicami" Wł. Anczyca „Mściciel" J. Germana „Pod kolumną Zygmunta" A. Urbańskiego, „Gwiazda Syberii", „Tamten" G. Zapolskiej. Kiedy w połowie sezonu J. Oriliński objął stanowisko głównego reżysera zespół był już ustabilizowany. Na początku kierownictwo świeżo utworzonego Towarzystwa udziałowego artystów Teatru Polskiego w Łodzi" przejął O. Szeffer. Udało mu się skupić najlepsze siły artystyczne zaprowadzić racjonalną gospodarkę administracyjną. Jednak brak funduszów odbijał się wyraźnie na dekoracjach, rekwizytach, kostiumach.

Mimo to ceny biletów zniżono do minimum, aby zachęcić do teatru rzemieślników i ludność ubogą. Zarazem inteligencja odsunęła się nieco łaknąc teatru na wyższym poziomie artystycznym. Kiedy więc Teatr Polski z Warszawy przyjechał na gościnne występy sala Teatru Wielkiego była wypełniona po brzegi.

1 marca 1916 roku Józef Węgrzyn — Konrad i Aleksander Zelwerowicz — Nowosilców w trzeciej części Dziadów" Mickiewicza zachwycili publiczność doirzałością kreacji artystycznych. Występy trwały do 4 marca a zespół warszawski przedstawił również dramat „Car Paweł I" D. Mereżkowskiego i komedię J. Korzeniowskiego „Wasy i peruka".

Dzień powszedni łódzkiego

TRZY ROZMOWY O PUBLICZNOŚCI

Ewa Wycichowska
Foto: Ch. Zieliński

Z EWĄ WYCICHOWSKĄ – solistką baletu Teatru Wielkiego

— Arnold Haskell, wybitny baletowy krytyk angielski, wspomina, iż słynna Anna Pawłowa powiedziała mu kiedyś w czasie swoich londyńskich występów:

„Tutejsza publiczność jest tak niezwykle wspaniałomyślna że jakkolwiek cieszy to moje serce, nic mi nie pomaga. Wiem, że dziś wieczór nie tańczyłam „Umierającego łabędzia" tak dobrze, jak zwykle a mimo to aplauz publiczności był dokładnie taki sam. Byłabym zadowolona, gdyby oklaski były chociaż odrobinę mniejsze".

Czy Pani byłaby również zadowolona, gdyby oklaski były niekiedy bardzo gorące, a niekiedy nieco mniejsze? Słowem czy woli Pani publiczność, która „cieszy serce", czy też taką, która „pomaga", ocenia taniec ze znawstwem? I wreszcie, pani Ewo, jaka jest ta łódzka publiczność?

— Serdeczna, ale chyba zbyt układna, zbyt grzeczna. W Teatrze Wielkim odbywają się niekiedy inne imprezy, chociażby programy z telewizyjnego cyklu „Dobry wieczór, tu Łódź". Widownia jest wówczas bardziej „na luzie", natychmiast wiemy, czy coś się naprawdę podoba, czy nie.

Natomiast publiczność przychodząca do opery, czy na spektakle baletowe, stara się zachowywać odświętnie, konwencjonalnie. Klaszcze po spektaklu, jak również po każdym popisie, powiedzmy wariacji, zwłaszcza wówczas, gdy zakończenie wyraźnie jest zaznaczone w muzyce i w układzie.

Wiem od bileterek, szatniarek, że widzowie niekiedy pytają o mnie, że niektórzy z nich chyba mnie lubią, ale będąc na scenie nie zdołam nigdy odgadnąć, czy dziś przyszła „moja" publiczność, czy jakaś inna obojętna. Owszem, studenci szkoły aktorskiej polubili „Gajane", byli na próbie generalnej, na wielu przedstawieniach. I ich obecność wyczuwało się natychmiast, temperatura na sali jakby rosła, co uskrzydlało nas tancerzy.

Zdarza się bowiem, że tańczymy dla kulis w których stoją koledzy i pedagodzy, surowi, wymagający sędziowie. Ich opinia jest oczywiście bardzo ważna, ale oni znają spektakl, zamysł choreografa, gdy ja chciałabym wiedzieć, co czuje publiczność, czy odbiera w pełni to, co pragnęliśmy przekazać, czy też może jakiś z moich gestów jest zbyt blady, nieczytelny, bądź przeciwnie przejaskrawiony.

Innymi słowy wolałabym widownię bardziej wymagającą i zapalną, gorącej reagującą na to, co dobre i co złe. Na premierach, czy Spotkaniach Baletowych mamy niekiedy taką publiczność, ale niestety nie mamy jej codziennie...

Z JANEM MILEWSKIM – kierownikiem Biura Informacji i Obsługi Widzów Teatru Nowego

— Chciałem zapytać o łódzką publiczność, o to chociażby, jak liczne jest grono najbardziej zapalonych, autentycznych teatromanów? A także o zasady kolportażu biletów, o spektakle cieszące się największym powodzeniem, słowem o wszystko, co wiąże się z Pana pracą.

— Mówić o wszystkim byłoby chyba trudno, zacznę więc może od „zasad gry", które zostały wypracowane za czasów dyrekcji Kazimierza Dejmka i dają już widoczne rezultaty.

Przede wszystkim: kasa sprzedaje połowę biletów, w tym pewna ilość biletów zbiorowych, tak więc już w tej chwili co trzeci widz jest widzem indywidualnym.

Po wtóre: jeżeli tylko na określony spektakl są jeszcze wolne miejsca, bilety muszą być w kasie, a nie gdzieś tam u kolporterów, którzy sprzedadzą je bądź zwrócą.

Po trzecie, choć to chyba jest najważniejsze: nie chodzi o to, aby „na siłę" zapełniać rzędy krzeseł lecz o to, aby publiczność wyszła z teatru zadowolona, a właściwy widz trafił na właściwy spektakl.

Posłużę się tu przykładem „Cienia". Na premierze i zaraz po premierze zainteresowanie było olbrzymie, to po prostu runęła na kasy owa podstawowa grupa teatromanów, która ja obliczam gdzieś na 5—6 tysięcy osób. Potem frekwencja nieco się obniżyła, „baśń dla dorosłych" to coś, czego łódzka publiczność nie zna, co mogło budzić pewne opory. Ci jednak, którzy przyszli na spektakl wychodzili zachwyceni, trochę pomogły informacje w prasie, recenzje i oto zainteresowanie „Cieniem" zaczęło ponownie rosnąć, czego dowodem niech będzie fakt że w dniu w którym ukaże się ten numer „Odgłosów", będzie on grany po raz setny.

Ogromnym sukcesem była oczywiście „Operetka" bardzo duże zainteresowanie wzbudził „Obłudnik" i tu przeskoczyliśmy pewną barierę, obok młodzieży, która — choćby ze względu na lektury szkolne — jest tradycyjnym odbiorcą klasyki, bardzo licznie i chętnie zaczęli bowiem uczęszczać dorośli. „Cienia" i „Obłudnika" sprzedajemy w rezultacie już na koniec kwietnia, a na kwietniowe przedstawienia „Zwłoki" Durrenmatta, której premiera dopiero nas czeka, biletów już nie ma w ogóle...

Podobnie z gościnnymi występami. Dyrekcja teatru bardzo starannie dobiera partnerów do teatralnej wymiany, publiczność zdążyła się więc przyzwyczaić, że na naszej scenie występują jedynie dobre zespoły z naprawdę interesującymi spektaklami. I kupuje bilety „w ciemno" trzeba jej jedynie czasami coś podpowiedzieć czy też po prostu bardzo rzetelnie poinformować, co mamy do zaoferowania.

Jan Milewski
Foto: J. Głowacki

Z RYSZARDEM SOBOLEWSKIM – reżyserem, aktorem Teatru im. Jaracza

Ryszard Sobolewski

— Zapytam najkrócej: jaka jest łódzka publiczność?

— Właściwie powinienem odpowiedzieć pytaniem: a czy my w ogóle mamy publiczność? Prawdziwa publiczność przychodziła do teatru dionizyjskiego, na walki gladiatorów, na hipodrom w Konstantynopolu, zawsze bardzo dobrze wiedząc, czego tam właściwie szuka. Natomiast widownia zorganizowana jest zbiorowiskiem ludzi, którzy przypadkowo znaleźli się na jakiejś sali teatralnej i oglądają jakiś spektakl. Wśród tych widzów jest kilku, kilkunastu w najlepszym wypadku kilkudziesięciu takich, którzy świadomie dokonali wyboru i z własnej woli na to właśnie przedstawienie kupili bilet w kasie... Niekiedy mimo to odbiór bywa żywy, nawet gorący, ale z prawdziwie spontaniczną widownią spotkałem się ostatnio jedynie podczas naszych teatralnych wyjazdów, gdy „Protokół z pewnego zebrania partyjnego" graliśmy na wielkich halach fabrycznych wśród wygaszonych maszyn. W trakcie przedstawienia można było swobodnie wejść i wyjść, a jednak wielu robotników zostawało po spektaklu, żeby tylko z nami porozmawiać.

W większości przypadków widownia bywa jednak raczej obojętna, a przecież teatr może zaistnieć jedynie w odbiorze, musimy odczuwać prawidłowość, bądź nieprawidłowość tego, co dzieje się na scenie. Skoro tak nie jest, wina leży chyba po naszej stronie, być może nie umiemy znaleźć właściwych propozycji, albo też zbyt długo i zbyt ufnie zadowalaliśmy się organizowaniem widowni, rozliczaniem z frekwencji jedynie pod kątem statystyki.

A może jest i tak, że w dobie wielkich widowisk, filmu panoramicznego, telewizji, stereofonii i innych wynalazków technicznych, teatr musi stać się intymną przygodą i powoli zacząć wycofywać do małych sal na 200 czy 300 widzów...

Notował: J.P.

AFORYZMY TEATRALNE

★

Rampa — to, co czasem na zawsze dzieli aktora i publiczność.

★

Prapremiera okazała się takim niewypałem że nawet saperzy opuszczali chyłkiem widownię.

★

Katharsis — chwilowe zanieczyszczenie dróg oddechowych.

★

Może warto niektórym zespołom przywrócić starą nomenklaturę — trupy teatralne?

★

Łupież w peruce! Toż to zakrawa na kokieterię...

★

Czy pan nie wie, że Szekspir umarł!? Strofowano mnie, gdy po pewnym szekspirowskim spektaklu zawołałem — Autor!

★

Z notatnika reżysera. Więcej życia w scenie śmierci!!!

★

Chcę mnie bierze, by na popołudniówce także trafić do młodzieżowego widza... Z procy.

★

Teatr Małych Form? Zgoda. Ale dlaczego małych treści!?

★

Rysował postać ostrą kreską... Cięte rany opatrzono mu w czasie antraktu.

★

Im wyższe koturny, tym trudniej się na nich utrzymać.

★

Męki Tantala były niczym w porównaniu z mękami reżysera nie przygotowanego do próby.

★

Aktor szarżujący — komikadze.

★

A gdyby tak poziom wielu przedstawień mierzyć od dna zapadni?

★

Happening — rodzaj artystycznej ciekawki.

★

To był wspaniały odbiór. Już w czasie pierwszego aktu publiczność gremialnie odbierała w kasie teatru pieniądze za bilety.

★

Aktor ateista — nie uwierzył w reżysera.

★

Zaszufladkowany do ról specjalistów od mokrej roboty nabawił się reumatyzmu...

★

Śledzik w bufecie dla aktorów? Po trzecim dzwonku na scenę!? Tak?

★

Życie nie ma seansu! Zwykł mawiać pewien kierownik kino-teatru.

★

Czy scena kluczowa dramatu, to taka, za której złe wykonanie powinno się zamykać?

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

–LATA I WOJNY ŚWIATOWEJ

Teatru Polskiego wyglądał natomiast mniej interesująco repertuaru brakowało grano najczęściej sztuki słabe niekiedy również klasyke choć nie zawsze w dobrym wykonaniu Sezon kończył się serią benefisów na które sztuki były wybierane przez aktorów, tak np 14 maja 1916 roku jako ostatnie przedstawienie w siedzibie przy ul Cegielnianej wystawiono przeróbkę fragmentów „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza pod tytułem „Azja Tuhaj Bejowicz".

Tymczasem ważyły się losy sceny polskiej 15 sierpnia 1916 roku na posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Teatralnego rozstrzygnięto konkurs i dyrekcję teatru przy ul Cegielnianej objęli J. Orliński i O Szeffer zaś wybitny poeta B Leśmian został kierownikiem literackim.

Sezon zapowiadał się ogromnie interesująco. Podjęto wysiłki aby postawić scenę na odpowiednim poziomie artystycznym. Przedstawienia chwalone były za trafny wybór sztuk pomysłowość dekoracji nowatorskie inscenizacje. Przemyślany program artystyczny i społeczny kierownictwa teatru pobudzał różnorodne inicjatywy o dużych walorach pedagogicznych. Mieściły się w nim wieczory literackie, przedstawienia dla młodzieży (po cenach zniżonych) arcydzieł literatury dramatycznej prelekcje poprzedzające spektakle, programy teatralne objaśniające idee granych sztuk.

Realizacja tego programu natknęła na trudności w postaci nikłych środków materialnych i słabość zespołu aktorskiego. Wśród 55 wystawionych sztuk zwracają uwagę „Gromiwoja" Arystofanesa, „Salome" O Wilda, „Na dnie" M. Gorkiego „Ksiądz Marek" J. Słowackiego „Nora" Ibsena, „Rewizor z Petersburga" M. Gogola. W przedstawieniach wyróżnili się aktorzy: P. Woskowski J. Morska, E. Korczak, J Orliński, W. Oledzki i inni.

Teatr Popularny ul. Konstantynowska 16, będący drugą sceną w Łodzi, przygotował repertuar dla publiczności mniej wymagającej. Wystawiano krotochwile jak „W okopach" M Swobody czy „Krakowskie zuchy" S. Turskiego.

Oba teatry konkurowały ze sobą premiery „Kilińskiego" M. Bałuckiego czy „Kościuszko pod Racławicami" Wł Anczyca ukazywały się w odstępie dwu dni. Tkwiły w repertuarze jako pożycie wznawiane wielekroć. Powodzeniem cieszyły się także przedstawienia dla dzieci np „Dziadzio Piernik — babcia Bakalia" — M. Tatarkiewicza.

Występy gościnne mistrzów sceny polskiej przybywających do Łodzi w latach 1916—1917 satysfakcjonowały najbardziej wybrednych teatromanów.

K. Adwentowicz wystąpił w „Ojcu" Strindberga i „Kordianie" Słowackiego, St. Knoher-Zawadzki w „Warszawiance" i „Weselu" Wyspiańskiego „Otellu" Szekspira, „Zemście" Fredry L. Solski — m. in. w „Złotej czaszce" Słowackiego, „Dożywociu" Fredry, „Skąpcu" Moliera i „Judaszu" z Kariothu" K. H Rostworowskiego K. Kamiński w sztuce Lindau'a „Prokurator Hallerst", zaś W. Rapacki i J. Leszczyński w „Panu Jowialskim" Fredry.

Pięknie kształtujące się tradycje teatralne wytwarzające smak i gust aktora oraz publiczności przerwała śmierć dyr. J. Orlińskiego. Następnie dyrekcję objęli: Stanisław Stanisławski i Franciszek Fraczkowski zapraszając do współpracy młodego malarza z Krakowa A. Pronaszkę którego dekoracje zachwycały widzów.

Wydarzeniem artystycznym sezonu były „Dziady" A. Mickiewicza według inscenizacji Wyspiańskiego, wznowienie „Kordiana" J. Słowackiego Idiota" Dostojewskiego „Kaligula" Rostworowskiego, „Noc listopadowa" Wyspiańskiego (według inscenizacji krakowskiej) Hamleta" Szekspira i „Zbójcy" Schillera. Dyrektorzy St. Stanisławski i Fr. Fraczkowski zrezygnowali jednak z kierownictwa, gdy Polskie Towarzystwo Teatralne podniosło dzierżawę Teatru Polskiego.

10 lipca 1918 r. Władysław Kindler — dyrektor Teatru Małego — podpisał na dwa lata kontrakt na prowadzenie sceny w Łodzi. Miał kierować teatrami warszawskim i łódzkim. Dyrektorem administracyjnym pozostał O. Szeffer zaś kierownictwo literackie objął znany autor komedii K Zalewski. Sezon 1918/19 zainaugurowany 5 IX.1918 r. przerwała w 10 dni później śmierć Wł Kindlera. Tymczasem wydarzenia polityczne obiegły rychłe wyzwolenie. W społeczeństwie zapanował nastrój podniosły, takimi były także przedstawienia w teatrze.

Polskie Towarzystwo Teatralne, pierwsze polskie stowarzyszenie kulturalne w Łodzi podjęło decyzję w sprawie organizacji teatru. W „Gazecie Łódzkiej" ukazały się krytyczne artykuły dotyczące jego działalności. Zdaniem M Sachsa interesowność i ospałość Towarzystwa przyczyniły się do obniżenia poziomu sceny polskiej w Łodzi („Gazeta Łódzka" nr 8—90 1916 r.) Wydaje się zarazem że grono ludzi zrzeszonych wokół teatru przyczyniło się walnie do umocnienia i propagowania tej najważniejszej instytucji kulturalnej odgrywającej doniosłą rolę w życiu charakteru i specyfiki miasta.

W czasie I wojny światowej teatr pracował w trudnych warunkach. Wszelkie prośby o subwencje miejskie pozostały bez echa dlatego trzeba było walczyć o byt kosztem poziomu artystycznego. Zainteresowanie teoretyczne warsztatem teatralnym było skromne pośpiech nieustannej rotacji premier brak silnych osobowości aktorskich izolacja od centrów kultury powodowały tradycjonalizm środków scenicznych które wszelako nie wykluczały dobrego rzemiosła.

12 listopada 1918 r. teatr polski w Łodzi otworzył następną kartę urzeczony blaskiem niepodległości i wielkimi nadziejami gotował się do nowych zadań które stawiała przed nim historia.

JANINA KLIMASOWA

SZTUKA BEZPIECZNEJ JAZDY

Dość rozległe, kamienne podwórze, dziesiątki samochodów z tablicami „Nauka jazdy", grupki niecierpliwie rozmawiających, podnieconych osób. Wejście jak do prowizorycznej szopy: zaraz na prawo strome drewniane schody wiodące w ciemną, ciasną czeluść piętra. Wąski, kiszkowaty korytarz, po obu stronach klitki — pomieszczenia biurowe, w których dwie osoby ledwo mogą się pomieścić, a trzy stanowią tłum. Na końcu korytarza sala, zwana salą narad podobna raczej do wnętrza wiejskiej remizy strażackiej, choć użytkownicy robią co mogą, aby ożywić jej martwy, odpychający wygląd.

Myślicie, że to opis prowizorycznego punktu skupu szmat i butelek? Nic podobnego. To wierny wizerunek lokalu przy ul. Tuwima 15, w którym od lat mieści się AUTOMOBILKLUB ŁÓDZKI, zasłużona dla rozwoju motoryzacji w naszym mieście placówka kształcąca tych wszystkich, którzy chcą udoskonalić swoje umiejętności w prowadzeniu pojazdów mechanicznych.

Lokal odpycha tych, którzy przychodzą tu po raz pierwszy, rzetelność szkoleń i ich różnorodność — przyciąga najbardziej opornych. Zespół „ludzi dobrej woli" zasłużył rzetelnie na dobrą opinię, jaką się cieszy zarówno u władz m. Łodzi jak i wśród posiadaczy samochodów.

— W szerokiej opinii społecznej — twierdzi prezes AŁ mgr WŁODZIMIERZ MATYKIEWICZ — wszystko, co dotyczy motoryzacji kojarzy się przeważnie albo z politechnizacją życia albo ze sportem. Rzadko można usłyszeć, że organizacje związane z motoryzacją spełniają oprócz wspomnianych zadań, funkcje wychowawcze. Dziś nie sposób tych zagadnień oddzielać od siebie. Zarówno politechnizacja jak i humanizacja wzajemnie się uzupełniają. Bardzo wyraźnie daje się to odczuć w wielkich aglomeracjach miejskich, takich jak np. Łódź.

Automobilklub Łódzki został założony 50 lat temu. Dziś liczy ponad 4 tys. członków zrzeszonych w 45 kołach. Należą tu naukowcy, pisarze, dziennikarze, inżynierowie, nauczyciele, robotnicy uczestnicząc w pracach różnych komisji: bezpieczeństwa ruchu drogowego turystyki kwalifikowanej i rekreacyjnej, sportowej, kartingowej itp. Prowadzą oni działalność nie tylko wśród dorosłych lecz przede wszystkim wśród dzieci i młodzieży. Ucząc bawiąc, wychowują uczą. Ich wspólną cechą jest posiadanie wysokich umiejętności zawodowych oraz społeczne zaangażowanie. Nikt z tych ludzi za swoją pracę nie otrzymuje zapłaty, nie mają z tego tytułu żadnych zaszczytów ani przywilejów. Godzą swoje obowiązki zawodowe z pracą na rzecz społeczeństwa. A ta ostatnia jest różnorodna i wszechstronna. W swoim założeniu programowym AŁ jako bardzo ważne punkty wymagające ciągłej realizacji, umieścił: podnoszenie umiejętności sprawnego kierowania samochodem, przestrzeganie zasad bezpiecznego poruszania się na drogach, popularyzacja zagadnień sportu samochodowego wśród kierowców amatorów, rozwijanie turystyki rekreacyjnej i kwalifikowanej itp.

Oczywiście, na pierwszym planie znalazła się młodzież. Już w roku ub. rozpoczęto organizowanie konkursów dla młodzieży szkolnej szkół podstawowych, którymi objęto 11 szkół na terenie Łodzi. Nauczyciele prowadzili wykłady teoretyczne, instruktorzy AŁ — zajęcia praktyczne (udział brali społeczni inspektorzy ruchu drogowego oraz zawodnicy komisji sportowej). Uczono zasad ruchu drogowego, techniki jazdy itp. Akcją objęto 150 uczniów posiadających własne motorowery.

Po tym pierwszym zetknięciu się z młodzieżą, zdecydowano, że będzie to impreza coroczna i masowa. Ale pierwszym etapem stanie się rower: trzeba wyeliminować wypadki drogowe, których sprawcami lub ofiarami są nieletni posiadacze rowerów. W AŁ przygotowują się do tej masowej akcji bardzo poważnie. Komisja Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego, której przewodniczy ANDRZEJ ROGALIŃSKI, chce w większym zakresie niż dotąd propagować we wszystkich typach szkół naukę zasad ruchu drogowego i wzorem lat ubiegłych przekazać szkołom kilka tysięcy ulotek i urządzeń odblaskowych, znaków drogowych, kodeksów rowerzysty.

Coraz szerzej zaczyna się rozwijać akcja patronacka. W chwili obecnej 5 szkół łódzkich nawiązało współpracę z AŁ. Czynione są starania, by ani jedna szkoła nie pozostała poza zasięgiem działalności AŁ.

Duże znaczenie przywiązuje się także do szkoleń obejmujących technikę jazdy osób dorosłych. Sekcja sportu samochodowego ma na swoim koncie poważne osiągnięcia w zakresie tzw. szkoły doskonalenia techniki jazdy. Na starym lotnisku pod Aleksandrowem (kiedyś szkolił tam pilotów kpt. Franciszek Żwirko) odbywają się szkolenia właścicieli wszystkich typów samochodów. Odbywają się bezpłatnie, a prowadzą je fachowcy od motoryzacji posiadający licencje instruktorów i zawodników. Najpierw, przez parę godzin instruktaż, później nauka trudnej sztuki bezpiecznego prowadzenia samochodu. JERZY BRYDA, wiceprezes d/s sportu AŁ twierdzi, że kierowcy-amatorzy otrzymują niedostateczne przygotowanie na kursach na prawo jazdy: nie umieją jeździć do tyłu, nie potrafią ocenić odległości własnego samochodu od przedmiotów znajdujących się z prawej strony lub z tyłu, nie przyzwyczajono ich do przewidywania w czasie jazdy itp. Tego, oraz wielu innych podstawowych rzeczy uczą się w „szkole jazdy AŁ".

Inną sprawą są gokarty. Tu młodzież rozpoczyna naukę od dokładnego poznania pojazdu i silnika, a dopiero potem pozwala się wyjechać na tor. Jest to więc znakomita szkoła politechnizacji i opanowania, które czeka każdego kierowcę w czasie jazdy po mieście.

Oczywiście AŁ to nie tylko wyżej wymienione formy pracy, to także zbiorowe imprezy turystyki rekreacyjnej, dziesiątki zawodów, rajdów, konkursów, szkoleń, kursów „wyższej szkoły jazdy", to wreszcie szkolenie specjalistyczne (inspektorzy ruchu drogowego, ratownicy drogowi, kierowcy licencyjni, rajdowi).

Na pytanie, jakie są perspektywy dalszego rozwoju AŁ, prezes mgr WŁODZIMIERZ MATYKIEWICZ powiedział, że spodziewa się, iż liczba członków będzie wzrastała wraz ze wzrostem ilości samochodów w naszym mieście, co zmusi zarząd AŁ do szukania coraz to nowych form i metod szkoleniowych. Jeszcze dwa lata wstecz były zaledwie 4 koła terenowe, dziś jest ich 45 i ciągle powstają gdzieś nowe. Niektóre z tych kół usamodzielniają się. To cieszy. Im więcej kół AŁ, im więcej przeszkolonych kierowców — tym mniej wypadków na ulicach i drogach. A stary budynek? Pójdzie pod spychacz. W niedługim czasie AŁ otrzyma nową siedzibę.

Sądzę, że po pięćdziesięcioletniej działalności słusznie im się to należy.

EUGENIUSZ IWANICKI

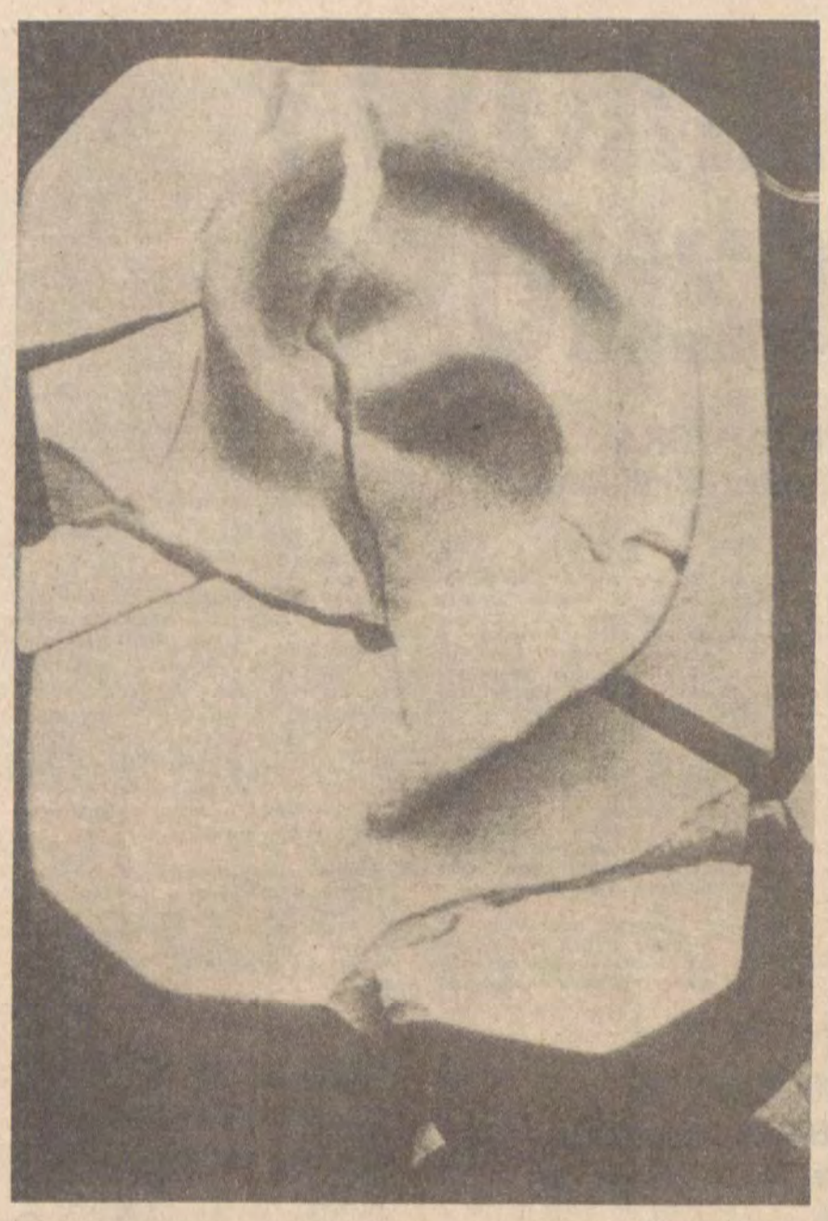

Foto: Archiwum

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

O CZŁOWIEKU, KTÓRY MÓWIŁ ZA GŁOŚNO...

Zastanawiam się ciągle dlaczego żaden z łódzkich dziennikarzy nie wyciągnął tej historii na światło dzienne. W końcu jest w Łodzi paru facetów specjalizujących się w problematyce służby zdrowia, medycznych ciekawostkach i znających się dużo lepiej niż ja, na tym co boli łodzian i gdzie owe bóle najlepiej leczyć.

GŁOS JAK GRZMOT

W sprawie Jerzego M. chodzi przecież nie o to „co on mówi, ale jak mówi." A czyni to tak donośnie, że ludziom nie przyzwyczajonym i stojącym za blisko — zdają się pękać w uszach bębenki, a włosy na głowie (o ile słuchacze posiadają takowe) prostuje nagłe przerażenie.

Wiem coś o tym, bo w pierwszym kontakcie z Jerzym M. sam przeszedłem przez te wszystkie fazy, mimo iż uprzedzono mnie, abym przygotował się psychicznie na to co nastąpi z chwilą, gdy Jerzy M. otworzy usta i powie na przykład:

— Czy pan naprawdę zechce mnie wysłuchać?

Chciałem, przysięgam, że chciałem. Więcej nawet — paliłem się wprost, by usłyszeć na własne uszy to o czym pewnego marcowego popołudnia opowiadał mi w Klubie Dziennikarza mój przyjaciel, lekarz-laryngolog — Kazimierz K. Sprawa miała bowiem wszelkie cechy sensacji, tym bardziej, że stanowiła wyzwanie rzucone nie tylko zwykłej ludzkiej ciekawości, ale przede wszystkim medycynie, która okazała się w tej, na pozór prostej, sprawie całkowicie bezradna nie potrafiąc ustalić, ani leczyć przyczyn, jak też i skutków, owej przedziwnej choroby.

Jakiej? Cóż, jej drukowany opis może co najwyżej pobudzić z lekka wyobraźnię czytelnika, ale nie jest w stanie oddać wrażenia, jakie spada z hukiem gromu na stojącego oko w oko z Jerzym M. słuchacza.

Ja zostałem nim (z dziennikarskiego obowiązku i prywatnej ciekawości) na dłużej, ale przyznam, że gdy Jerzy M. zaczął swoje — cytowane wyżej — pytanie, gotów byłem — odskoczywszy do tyłu i zasłoniwszy uszy rękoma, wrzeszczeć z przerażenia, by zagłuszyć choć trochę, przerwać ten niesamowity ryk, który trząsł nie tylko mną, ale i ścianami pokoju.

Było to tak, jakby ktoś włączył nagle, nastawiony na pełny regulator głośnik i to uzupełniony potężnym wzmacniaczem. Doświadczyłem już kiedyś tego wrażenia na koncercie pewnej grupy bitowej, kiedy siedziałem zbyt blisko kolumny nagłośniającej i dostałem prosto w twarz, tj. w uszy, straszliwym obuchem dźwięku, zanim spec od całej tej aparatury zlitował się nieco nad widownią i przykręcił jakieś gałki.

Tu, w tym pokoju, nie było jednak żadnych głośników i wzmacniaczy. Jerzy M. nie mówił do mikrofonu. Był ze mną sam, bo dr K. stwierdził, że woli przeczekać moje pierwsze wrażenie w sąsiednim pokoju. Ten człowiek nie krzyczał — ba, zdawało mi się, że ledwie otwiera usta, a jednak każda zgłoska wydobywająca się z jego gardła rozrastała się z zamierzonego szeptu do dźwięku o takiej sile, że każdego słuchacza musiała ogarnąć przemożna chęć, aby natychmiast uciec od Jerzego M. lub co prędzej go... wyłączyć.

Tak właśnie podziałać musiał na niego widok mojej twarzy i sposób w jaki zareagowałem na jego pytanie, bo Jerzy M. umilkł (ale mnie w uszach dzwoniło nadal) i sięgając po leżącą na stole kartkę papieru napisał na niej tylko jedno słowo: JESZCZE?

Można mi dziś wyrzucać, jako nietakt wobec chorego człowieka, moje długie wahanie w tamtej chwili, ale wątpię, czy ktokolwiek zrobiłby na moim miejscu inaczej niż ja, kiedy wziąłem od Jerzego M. kartkę i ołówek pisząc na niej co następuje:

„Proszę poczekać. Nie jestem przygotowany. Muszę się porozumieć z doktorem. Przyjdę do Pana jutro o dziewiętnastej i wtedy opowie mi Pan wszystko. Zgoda?".

Dlaczego napisałem to, a nie powiedziałem, skoro Jerzy M. słuch miał ponoć całkiem normalny? Nie wiem. W każdym razie Jerzy M. przeczytał i kiwnął głową. Pożegnaliśmy się bez słowa, podając sobie ręce, bo ja nadal nie chciałem nic powiedzieć w jakiejś — widać podświadomej — obawie, że wszelkie dźwięki ruszą na nowo, któż wie jak straszną lawiną hałasu, albo że nagle z moich ust także wydobędzie się to, co były w stanie wydobyć z gardła Jerzego M. jego niesamowite struny głosowe...

BEZRADNOŚĆ SPECJALISTÓW

— W przypadku Jerzego M. chodzi zapewne o jakąś specyficzną budowę krtani? — pytałem później, już u mnie w domu doktora K.

— Otóż nie — prostował moje przypuszczenia, popierając je laryngologicznymi wywodami doktor K. — **On ma normalne gardło. Badałem go nie tylko ja, jego przyjaciel, do którego zgosił się po pierwszych objawach, wywołując zresztą w poradni mały popłoch. Chciał bowiem wejść do gabinetu bez numerka, poza kolejnością i kiedy któraś z pacjentek złapała go za rękaw — „przeprosił" ją tak donośnie, że kobieta mało nie zemdlała... Po mnie — bo mimo wszelkich ambicji niesienia mu pomocy okazałem się bezradny — zaglądali mu w gardło najwybitniejsi polscy specjaliści. Sprawa zaszła tak daleko, że poproszono o konsultację pewnego wybitnego praktyka ze Szwajcarii. Nie będę ci tu opisywał całego procesu doszukiwania się przyczyn tej dziwnej choroby Jerzego M. i kajania się wobec tego niesamowitego przypadku co poniektórych prominentów XX-wiecznej medycyny. Przypadek ten opisano zresztą uczciwie — ze wszystkimi znakami zapytania, w jednym z ostatnich numerów „Lancetu", a obok Anglików, potwierdzili swoje zainteresowanie problemem uczeni radzieccy, bułgarscy, francuscy i japońscy.**

Tyle, że dla Jerzego M. i jego gardła nie wynikło z tego całego hałasu właściwie nic. Zresztą przy hałasie, jaki mówiąc robi on sam, diagnoza, którą w końcu postawiono, jest właściwie tylko żałosnym piuknięciem...

— Coś jednak w końcu uznano za przyczynę owej nienormalnej i tak ogromnej siły głosu Jerzego M. — dopytywałem się gorączkowo, notując każde słowo doktora K.

— Niby tak — odparł, krzywiąc się, mój przyjaciel — **ale tę diagnozę równie dobrze mógłbyś postawić i ty. Nasuwa się bowiem sama, lecz praktycznie nie oznacza żadnego konkretnego rozwiązania i specjalnej nadziei. Uznano bowiem, że owa niesamowita siła głosu nie znajdująca uzasadnienia w budowie gardła Jerzego M. (nie stwierdzono bowiem ani żadnych odchyleń od normy ani zmian chorobotwórczych) musi mieć ścisły związek ze stanem psychicznym pacjenta i bezpośrednio od niego zależy. Jest to orzeczenie tyleż tajemnicze co enigmatyczne i nie poparte właściwie niczym, jako że stan i kondycja psychiczna Jerzego M. nie wskazują z kolei na żadne zwichrowania, których śladem można by np. puścić psychiatrę.**

Jerzy M. jest człowiekiem ze wszech miar normalnym — pomijając jedynie tę dziwną przypadłość, tak mocno wyróżniającą go z grona innych obywateli, kiedy tylko próbuje coś powiedzieć...

Ostatnio mówi jednak coraz rzadziej. Do porozumiewania się z bliźnimi — jak sam widziałeś — używa kartki, a jeśli chodzi o skrzywienie psychiczne, to dojdzie do tego, być może już niedługo, jeśli ten stan, w jakim się obecnie znajduje, będzie się przedłużał...

Oczywiście nasza potężna i samarytańska medycyna nie zostawiła go tak zupełnie własnemu losowi. Otrzymuje pewne leki uspokajające, chodzi regularnie na badania, a wkrótce komisja lekarska wydziału zdrowia rozpatrywać będzie dość nietypowy wniosek o rentę inwalidzką. Słowem, cała sprawa nie jest jeszcze zamknięta, choć — jak orzekli fachowcy — do Jerzego M., a właściwie jego psychiki należało będzie ostatnie słowo...

STAŁO SIĘ TO WE ŚNIE

Mimo przykrych doświadczeń z pierwszego spotkania koniecznie chciałem go jednak usłyszeć mówiącego. Zabezpieczyłem się wprawdzie lepiej niż wówczas, wpychając do uszu grube korki z waty, które miały osłabić nieco uderzeniową siłę wydobywających się z gardła Jerzego M. decybeli.

Rzeczywiście pomogły co nieco, ale i tak głos starającego się mówić jak najciszej — siedzącego w drugim kącie pokoju Jerzego M. docierał do mnie z niewiele uszczuploną i drażniącą coraz bardziej siłą.

— To stało się nagle. Jeszcze w styczniu tego roku mówiłem normalnie, jak każdy zdrowy człowiek — opowiadał wolno. — **Lekarze mówią, że doznałem szoku, który miał tak ogromny wpływ na pewne sterujące funkcje mózgu, że... TO SIĘ JAKOŚ STAŁO!**

Zakończył zdanie, podnosząc podświadomie swój gigantofoniczny głos do krzyku, a mnie aż wcisnęło w fotel. Z całej siły musiałem powstrzymać się by nie wrzasnąć z kolei: MÓW PAN TROCHĘ CISZEJ!!! — i zapytać zamiast tego:

— Ale o jaki szok chodziło?

— Nie wiem — rozłożył bezradnie ręce Jerzy M. — **To było nad ranem. Śniło mi się widać coś okropnego, czego do dziś nie mogę sobie przypomnieć, bo obudziłem się z krzykiem. Rozumie pan? — z TYM krzykiem! Myślałem, że zwariowałem — bałem się pójść do sąsiadów po pomoc — no bo po jaka? Nakręciłem numer telefonu do przychodni Kazika, ale kiedy wydobyłem z siebie: „poproszę..." to sam rzuciłem z przerażeniem słuchawkę. Poszedłem w końcu do niego, ale i tak narobiłem przed gabinetem poruty, a o reszcie tej całej kolomyi to już pan wie... Ten profesor ze Szwajcarii co przyjechał do mnie na zaproszenie instytutu w Warszawie to powiedział, jak mi później przetłumaczyli, bo ja nie znam niemieckiego, że taki sam szok, który spowodował to wszystko może również wygasić ten stan. Tyle, że nikt nie wie kiedy i jak to się stanie... Na razie to proszę pana staję się z własnego wyboru niemową. Chociaż głos mam silniejszy od pana i tysiąca innych razem wziętych. Ale co mam robić? Uczę się nawet tego migania głuchoniemych, bo nie zawsze będę miał pod ręką kartkę, żeby napisać o co mi chodzi...**

Przerwał na długą chwilę, a potem znów zadudnił aż drżały ściany:

— Kazik też mówił, że to przyjdzie we śnie. Więc łykam różne proszki, a przedtem czytam i wymyślam niesamowitości, żeby trafić w ten sen, który mnie przyciszy. A może ja już śnię? Może to wszystko nieprawda? Może obudzę się zaraz i okaże się, że to wszystko przyśniło się mnie, panu, Kazikowi...?

U PRZYJACIÓŁ

MOSKWA. Eksperci krajów zachodnich wysoko ocenili trwający 96 dni i 10 godzin pobyt w kosmosie radzieckich kosmonautów Jurija Romanienki i Gieorgija Grieczko. Ich zdaniem w czasie tego lotu kosmicznego „Sojuza 27", który połączył się ze stacją kosmiczną „Salut 6", zaszło kilka wydarzeń, które nadają szczególnego znaczenia radzieckiej kosmonautyce.

Zdaniem moskiewskiej korespondentki agencji UPI — Peggy Polk, która jako pierwsza przekazała komentarz po zakończeniu lotu kosmicznego radzieckich kosmonautów, do wydarzeń tych należy zaliczyć:

— fakt jednoczesnego cumowania dwa statków kosmicznych do stacji kosmicznej „Salut 6", co daje możliwość utrzymywania na stacji tej załogi w sposób trwały przez wiele miesięcy, a nawet w sposób nieustanny przez długi czas,

— fakt ten potwierdza możliwość cumowania do stacji „Salut 6" automatycznego transportowca „Progres 1", dzięki czemu po raz pierwszy uzupełniono paliwo na stacji orbitalnej,

— rozszerzenie zespołu kosmonautów radzieckich i amerykańskich o kosmonautę z CSRS, do grona których zapowiedziano również wejście kosmonautów z Polski i NRD.

Wszystko to razem daje temu lotowi kosmicznemu historyczne znaczenie. Zdaniem ekspertów z krajów zachodnich, kosmonautyka radziecka dokonała milowego kroku w swoim rozwoju.

HAWANA. 15 marca 1978 roku kubański przywódca Fidel Castro wygłosił przemówienie transmitowane przez wszystkie stacje telewizyjne i radiowe na Kubie. Przemówienie to w znacznej części Fidel Castro poświęcił udziałowi — jak to określił — internacjonalistycznych bojowników kubańskich w walkach narodu Etiopii z somalijską agresją. „Walczyli jak o własną ojczyznę" — powiedział Fidel Castro.

Fidel Castro ostrzegł też Etiopię przed nadal grożącym jej niebezpieczeństwem. Jego zdaniem grozi ono Etiopii już nie ze strony Somalii, ale ze strony krajów reakcyjnych i imperialistycznych oraz NATO. Zdaniem kubańskiego przywódcy istnieje możliwość, aby między narodami Etiopii i Somalii zapanował pokój, a także, aby naród somalijski żył w pokoju krocząc drogą socjalizmu.

„Nasi specjaliści — powiedział Fidel Castro — przybyli w grudniu ubiegłego roku i styczniu bieżącego. Byli to specjaliści z zakresu czołgów, artylerii i lotnictwa. W fazie końcowej uczestniczyły także, u boku piechoty etiopskiej, zmotoryzowane jednostki piechoty kubańskiej".

Fidel Castro stwierdził też, że „dla rewolucjonistów świata praktycznie nie istnieją odległości". Państwa zachodnie i reakcyjne angażują się w różne konflikty na świecie. Pomagano też Somalii, dostarczając jej broń. Wszyscy wiedzieli o somalijskiej agresji w Ogadenie, ale nikt nie protestował. Kiedy jednak rewolucyjnej Etiopii pomoc zaofiarowały kraje wspólnoty socjalistycznej, kiedy zaczęli przybywać do Etiopii internacjonalistyczni bojownicy kubańscy, podniosła się wielka wrzawa. A internacjonalistycznym obowiązkiem wszystkich rewolucjonistów jest pomagać sobie wzajemnie.

SOFIA. Bułgarskie pismo „Zemedelsko Zname" opublikowało wiadomość, że w tym roku dzieci od 2 do 6 lat będą bezpłatnie kwaterowane w bułgarskich hotelach. Okazuje się, że udogodnienie to dotyczy tylko turystów z Zachodu, którzy płacą wymienialnymi walutami. Wprawdzie Bułgaria nie zmieniła kursu dolara i płaci za 1 dolara mniej niż 1 lewa ale turystom z krajów zachodnich oferuje premię, co powoduje, że przy wymianie dolara na lewa otrzymuje się za 1 dolara niemal 1,5 lewa.

Turyści z krajów zachodnich mogą w Bułgarii kupować atrakcyjne towary za waluty wymienialne w sklepach „Korekomu" (bułgarski odpowiednik „Pewexu"). W Sofii czynny jest też sklep „Korekomu", w którym można kupować za waluty krajów socjalistycznych. Polskich turystów zmartwi niewątpliwie wiadomość, że złotówek tam nie przyjmują.

BUDAPESZT. Węgierski dziennik, organ KC WSPR, „Nepszabadsag" opublikował artykuł Laszlo Rozsa, który zastanawia się nad protekcją. Jego zdaniem, bezapelacyjnie negatywnym zjawiskiem jest świadczenie wzajemnych usług, które naruszają określony porządek i demokratyczne zasady nawet wtedy, jeśli nie łamie się przepisów i prawo. Natomiast normalne, ludzkie, rodzinne, przyjacielskie, czy sąsiedzkie związki nie są czynnikami jednoznacznie negatywnymi. Powszechnym zjawiskiem jest wzajemne popieranie się ludzi którzy trafili do miasta ze wsi. Nie ma to jednak nic wspólnego z protekcją. Powiązania takie nabierają negatywnego zabarwienia dopiero wtedy, kiedy zawiązują się kliki których celem jest czerpanie korzyści kosztem reszty społeczeństwa. I z takimi powiązaniami należy walczyć, rozwijając wszelkie formy demokratycznej kontroli.

W Stanach Zjednoczonych ciało ustawodawcze i organa porządkowe patrzą na działalność świata przestępczego przez palce. Przyczyną tego zjawiska jest korupcja aparatu państwowego, jeden z charakterystycznych rysów amerykańskiego stylu życia. Bossowie świata przestępczego przekupują członków Kongresu i urzędników administracji, zapewniając sobie w ten sposób całkowitą bezkarność.

Jak twierdzą federalni prawnicy, wielu kongresmanów utrzymuje tajne kontakty z wodzirejami podziemia. Mafijni liderzy finansują kampanie przedwyborcze niektórych polityków i zapewniają im wszelkie możliwe poparcie, co odgrywa istotną rolę w dalszej karierze kongresmana. Istnieją dowody, że mafiosi przekupują urzędników federalnych, żeby otrzymywać państwowe pożyczki. Obecnie mafia uruchamia co najmniej 48 miliardów dolarów rocznie, przy czym gangsterzy lokują ogromne kapitały w mnóstwie legalnych przedsięwzięć, od hoteli po kompanie budowlane. Z dokumentów pochodzących z wiarygodnych źródeł, na które powołuje się waszyngtoński tygodnik „Parad" wynika, iż syndykaty przestępców kontrolują około 10 tysięcy legalnych firm, ciągnąc stąd zyski w wysokości co najmniej 12 miliardów dolarów rocznie!

Śledztwo przeprowadzone niedawno przez Główny Urząd Rachunkowy USA wykazało, że „walka przeciwko zorganizowanej przestępczości poszła na marne". Federalne siły operacyjne do walki z przestępczością, powołane do koordynowania działań organów nadzorujących przestrzeganie ustaw, poddaje się niemiłosiernej krytyce. W sprawozdaniu Głównego Urzędu Rachunkowego podkreśla się, iż „działalność władz federalnych wymierzona w zorganizowaną przestępczość jest bezplanowa, chaotyczna i brak jej odpowiedzialnego kierownictwa" Zakładano, iż gros informacji o działalności przestępców będą czerpać siły operacyjne z podsłuchu rozmów telefonicznych i tajnych mikrofonów. Wokół tej sprawy podniesiono jednak wielki szum. Kampanii protestu przeciwko stosowaniu takich środków przewodniczył, w latach 60, członek Izby Reprezentantów Cornelius Gallacher, demokrata ze stanu New Yersey, pod pretekstem „obrony prawa nietykalności życia osobistego". Kampania ta pomogła mu do wypłynięcia na jednego z głównych kandydatów na stanowisko wiceprezydenta w 1964 roku. Wkrótce potem nazwisko Gallachera pojawiło się nieoczekiwanie na łamach gazet w związku z całkiem inną sprawą. Jego głos zapisano na taśmie magnetycznej podczas podsłuchu rozmowy telefonicznej gangstera z New Yersey — Joe Sacarelli. Okazało się iż Gallacher jest blisko powiązany z bandą przestępców i brał udział w próbie przeszkodzenia w wydaleniu z USA jednego z bandytów mafii. W ten sposób „szlachetna walka" Gallachera o prawa człowieka była w gruncie rzeczy próbą przyjścia z pomocą wodzirejom mafii.

Instytucje prowadzące walkę z przestępczością miały kiedyś swobodny dostęp do podatkowych deklaracji gangsterów. Przestępcy „wyższej rangi" muszą ukrywać swoje nielegalne dochody i są winni uchylania się od płacenia podatków. Większych kombinatorów udawało się posadzić za kratki właśnie po zbadaniu ich deklaracji podatkowych. Ale w 1973 roku Biuro Podatków Wewnętrznych (BPW) zaczęło, zupełnie nieoczekiwanie, demontować tę całą maszynę do walki z gangsterami. Ówczesny prezes BPW, Donald Alexander, przelał po cichu środki wyasygnowane na specjalny program przymusowego ujawniania podatków — na działalność w innych dziedzinach. W czerwcu 1975 roku BPW przestało się także interesować tajnymi kontami podatników w bankach zagranicznych. Uprzednio niezgodna z prawdą odpowiedź na to pytanie karano, jako przestępstwo kryminalne. Później BPW zaprzestało nawet publikować kwartalne sprawozdania dotyczące płacenia podatków i wreszcie przestało w ogóle jakiejkolwiek działalności, określonej programem walki z kontrabandą narkotyków. Prezydent Carter obiecał wznowić ów program, ale później obciął środki asygnowane na ten cel.

Tak czy inaczej, władze federalne nie przejawiają szczególniejszej energii w walce z zorganizowaną przestępczością. Główny Urząd Rachunkowy stwierdził, iż oszustów dużej klasy z reguły „albo skazuje się na maksimum dwa lata więzienia, albo w ogóle uwalnia się od winy". Tymczasem bossowie band gangsterskich nawiązują coraz bliższe kontakty z politykami. Działacz polityczny w USA nie uważa, że mogą go skompromitować bliskie stosunki z oszustami i hochsztaplerami, „bo przecież współczesny gangster lokuje nieuczciwie zdobyte zyski w legalnym biznesie". Uważa siebie za biznesmana lub związkowego lidera i zdecydowanie odrzuca, jako nieuzasadnione, wszelkie słuchy o jego związkach ze światem przestępczym, lub nazywa to, o co go oskarżają „grzechami młodości". „Nie pretenduję do tego, żeby uważano mnie za świętego" — z cynicznym uśmieszkiem uspokajał pewien gangster swoich przyjaciół-działaczy politycznych i zapewniał ich, że teraz działa w ramach legalności. Senator Barry Goldwater, republikanin ze stanu Arizona nie zaprzecza, że przyjaźnił się ze zmarłym hersztem mafii Hasem Grinbaumem, którego zastrzelili profesjonalni mordercy z konkurencyjnej bandy gangsterskiej. Senator uczestniczył w pogrzebie przyjaciela. Fakt pozostaje faktem: były kandydat na prezydenta USA pozostawał w przyjacielskich stosunkach z przestępcami i bandytami.

Przewodniczący komisji prawnej Izby Reprezentantów, Peter Rodino, demokrata ze stanu New Yersey, przyjaźni się z gangsterem Richardem Boyardo. Kongresman wyjaśnia że „razem wyrastali na ulicach Nowego Jorku". Interesująca jest także historia byłego członka Izby Reprezentantów, Henry Chelstoskiego, demokraty ze stanu New Yersey, który przepadł na wyborach do Kongresu w ubiegłym roku. W 1974 roku wszczęto śledztwo z oskarżenia, że Chelstoski otrzymywał łapówki od obcokrajowców, którzy nielegalnie osiedlili się w USA, obiecując im, że przedłoży w Kongresie projekt ustawy o odroczenie wydalenia ich ze Stanów Zjednoczonych. Jego byłego pomocnika, Alfreda de Falco, postawiono przed sądem za wymuszenie od imigrantów kilkudziesięciu tysięcy dolarów.

Wodzireje świata przestępczego mają przyjaciół nie tylko w Kapitolu, lecz również w instytucjach rządowych. Pozostające w dyspozycji redakcji tygodnika „Parad" dokumenty ministerstwa sprawiedliwości świadczą o klasycznym przypadku niejakiego Thomasa Regana, który do ostatniej chwili zajmował stanowisko dyrektora oddziału urzędu do spraw drobnych przedsiębiorstw w Richmond, stan Wirginia. Ujawniono iż Regan zawierał umowy finansowe, na które nie było go stać i wpadł w długi rzędu 500 tys. dolarów. Jego sprawy polepszyły się nieco, kiedy udało mu się uzyskać pożyczki państwowe dla dwóch kompanii, z którymi współpracował jeden z jego licznych przyjaciół. Ów kamrat skontaktował go w Las Vegas ze swoim kuzynem Samem Calabrese, znanym gangsterem związanym z rodziną mafiosi — Gambino. Samowi Calabrese towarzyszył Samford Rafski, którego tytułują „nowym Mayerem Lanskim" (Lanski był sławnym finansowym potentatem gangsterów w Miami). Tam obmyślono plan wyłudzania pożyczek państwowych za pośrednictwem podstawionych osób. W konsekwencji, za pośrednictwem Regana, oszuści otrzymali kilka pożyczek po 350 tys. dolarów każda. W sumie ponad milion dolarów.

Po załatwieniu tych „transakcji" Regan osiedlił się na farmie specjalizującej się w hodowli koni, która kosztowała pół miliona dolarów i faktycznie była własnością jego przyjaciół, należących do różnych band gangsterskich. Kolega biurowy Regana powziął pewne podejrzenia i przyniósł do prokuratora federalnego w Richmond teczki z dokumentami dotyczącymi pożyczek. Śledztwo poruczono specjalnej brygadzie do walki z przestępstwami finansowymi i niebawem szajka stanęła przed sądem, oskarżona o wymuszanie, przekupstwo, szantaż itp. Wszyscy członkowie gangu otrzymali długoterminowe wyroki z wyjątkiem Rafskiego, któremu wymiar kary zmniejszono ze względu na „szczere przyznanie się do winy"...

Czy przestępcy — pyta autor artykułu w „Parad" — mają aż tak potężne wpływy polityczne, żeby móc oddziaływać na ustawodawstwo w USA? „Dziwne rzeczy dzieją się na Wzgórzu Kapitolińskim" — powiedział pewien wysoki urzędnik ministerstwa sprawiedliwości Interesowało go przede wszystkim, czy to nie gangsterzy przepychają projekty ustaw, ograniczających dostęp sędziom śledczym do bankowych i podatkowych dokumentów.

Czy można okiełznać zorganizowaną przestępczość w USA? Wielu Amerykanów sądzi, że chyba nie. Główny urząd Rachunkowy USA uprzedza: „Popyt na usługi świadczone przez szajki i bandy gangsterskie przynosi przestępcom dochody idące w miliardy dolarów".

JERZY CZECH

„NIE PRETENDUJĘ DO ROLI ŚWIĘTEGO..."

CZY SĄ JESZCZE NAZIŚCI?

„Czy są jeszcze naziści?" — to tytuł nowej pracy znanego dokumentalisty filmowego Ulricha Leinwebera. Projekcja tego filmu odbyła się niedawno w Zachodnim Berlinie. Prawie rok Leinweber wraz ze swoją grupą zdjęciową jeździł po RFN utrwalając na taśmach filmowych wszystkie możliwe marsze nazistów, „obchody pamięci bohaterów", propagandowe zgromadzenia itp. Zadanie tego twórczego kolektywu polegało na tym żeby na podstawie materiału dokumentalnego zdemaskować w oczach zachodnioniemieckiego społeczeństwa istotę neofaszyzmu, obalić twierdzenia środków masowej informacji RFN, a także burżuazyjnych działaczy politycznych, jakoby neonazistowskie organizacje w Republice Federalnej Niemiec prowadzą „nieszkodliwą" działalność i dlatego nie stanowią żadnego niebezpieczeństwa.

Uderza bezczelność z jaką neofaszyści pozują przed kamerą filmową, autoreklama i otwarte propagowanie antysemityzmu i antykomunizmu. W sytuacji panującego w RFN klimatu moralnego, nie przepuszczają najmniejszej okazji, żeby publicznie mówić o „walorach" nazizmu, twierdząc przy tym z niesłychaną pewnością siebie że tylko oni — neonaziści — są w stanie znaleźć wyjście z panującej w kraju sytuacji kryzysowej. Neofaszyści, z którymi zetknął się zespół grupy zdjęciowej, nie ukrywali swojej nienawiści do tych odważnych filmowców. Niemniej nowo odkryci „führerzy" zgadzali się na zdjęcia. Chęć ujrzenia siebie na ekranie była silniejsza. Są absolutnie przekonani, że nie spotkają ich sankcje, ani ze strony policji, ani aparatu wymiaru sprawiedliwości, chociaż działalność organizacji neofaszystowskich jest w RFN zakazana.

W filmie Leinwebera pokazano wiele organizacji neofaszystowskich działających w najprzeróżniejszych zakątkach RFN. Autor filmu pokazał jednak, iż łączy je wszystkie jedno: patologiczna nienawiść do marksizmu, kult przemocy i faszystowskiej ideologii, dążenie do wypaczania historii. Film opowiada o tych którzy stanowią jądro neofaszystowskich organizacji. Są to wielcy właściciele ziemscy, przemysłowcy, tzw. wygnańcy pałający żądzą odwetu i rewizji obecnych granic. Obraz, trwający 90 minut, jest ważnym demaskatorskim dokumentem filmowym. Nie potrzebują np., komentarza kadry na których utrwalono zgromadzenie faszystów z „grupy Hoffmana", uzbrojeni w łańcuchy od rowerów, pałki, a nawet w trujące środki chemiczne bezkarnie napadają na „wrogów" — antyfaszystów, Żydów, demokratycznie nastawionych ludzi. Wszystko to odbywa się na oczach policji, powołanej rzekomo do zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim obywatelom i niedopuszczania do przelewu krwi. W rzeczywistości policja zapewnia bezpieczeństwo tylko neofaszystom. Nie przypadkiem jej armatki wodne są zawsze skierowane na tych, którzy występują przeciwko wojnie, walczą o rozbrojenie, o pokój. Oto dlaczego — pisze publicysta zachodnioberlińskiego dziennika „Die Wahrheit" — faszystowscy pogromcy otwarcie i bez lęku stają przed obiektywem w pozach, jakby chcieli powiedzieć: „nasz czas jeszcze nadejdzie". Film wywołał szeroki polityczny rezonans. Na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych i Krótkometrażowych w Lipsku odniósł zasłużony sukces.

(C)

PO WYBORACH WE FRANCJI
WASZYNGTOŃSKIE FIASKO
POTRZEBA PORZĄDKU

Wybory parlamentarne we Francji pozostają w orbicie zainteresowania. Partie większości rządowej z poprzedniej kadencji dysponują ponownie najwyższą liczbą mandatów, jednakże **lewica wzmocniła swe pozycje** — partia komunistyczna zwiększyła stan posiadania o 12 mandatów socjalistyczna — o 9.

Prezydent Giscard d'Estaing w krótkim powyborczym przemówieniu telewizyjnym **dokonał pewnego otwarcia w stronę lewicy**, zapowiadając przygotowanie „drogi do szerokiej unii narodowej" wyrażając pragnienie rozszerzenia większości rządowej osobami z lewicy.

Przypominając, że obecna większość wybrana została na 5 lat (do 1983 roku) prezydent nakreślił najważniejsze zadania, które sprowadzają się do: zapewnienia większej sprawiedliwości społecznej, niezbędnego ożywienia gospodarczego m. in. w celu poprawy stanu zatrudnienia oraz ograniczenia biurokracji.

Oczywiście z przemówienia prezydenta komentatorzy zagranicznie wydobywają jego apel do opozycji o „rozsądne współistnienie" oraz do społeczeństwa o popieranie polityki odnowy i otwarcia w kierunku lewicy. Giscard d'Estaing, mówiąc o lewicy, ma na myśli socjalistów, których jeszcze za swej prezydentury chciałby przyciągnąć do współrządzenia. Dotychczas jego zaproszenie nie spotkało się z żadnym oddźwiękiem.

Wkrótce po wyborach premier R. Barre złożył dymisję swego gabinetu która — jak się sądzi — zostanie przyjęta w dniu otwarcia sesji nowego parlamentu — tj. 3 kwietnia.

Poświęćmy w kolejności nieco miejsca innemu wydarzeniu tygodnia — **waszyngtońskiej wizycie izraelskiego premiera Begina.** Prasa zachodnia podkreśla, że jego rozmowy z prez. Carterem i sekr. Vance **zakończyły się fiaskiem**, ponieważ rozmówcy nie zdołali znaleźć płaszczyzny porozumienia. Był to „dialog głuchych" spowodowany nieprzejednaną postawą Begina. Dodaje się przy tym, że taki chłód na linii Waszyngton — Tel Awiw zapanował po raz pierwszy od 30 lat.

Jak można się zorientować — główna różnica wynika z interpretacji rezolucji Rady Bezpieczeństwa, która dotyczy wycofania wojsk izraelskich na wszystkich frontach, podczas gdy w wersji Begina ma ona rzekomo nie odnosić się do zachodniego brzegu Jordanu. Ale nie tylko chodzi także o budowę nowych izraelskich osiedli na okupowanych terenach i potencjał militarny. Trudno zresztą ustalić szczegóły rozbieżności. Na pewno rozmowy nie były owocne i nie należy też spodziewać się szybkiego wznowienia negocjacji izraelsko-egipskich.

Tymczasem podjęte przez Izrael **agresywne działania wobec południowego Libanu** wywołały ostrą reakcję w świecie arabskim. Syryjski dziennik „Tiszrin" nawołuje do położenia kresu wewnętrznym sporom arabskim i zwarcia szeregów. W przeciwnym wypadku — czytamy na jego łamach „nie odzyskamy ani piędzi ziemi arabskiej i nie odeprzemy syjonistycznej agresji".

Palestyńczycy mają natomiast pretensje do krajów arabskich, że w krytycznym momencie ataku na południowy Liban pozostali sami.

Sytuacja na Bliskim Wschodzie jest więc nadal bardzo złożona i wyjście z niej może prowadzić tylko przez wycofanie się Izraela z zagarniętych przemocą ziem i uznanie praw Palestyńczyków.

Trzeci temat dzisiejszego komentarza — to **znowu Włochy.**

Porwanie przewodniczącego Partii Demokracji Chrześcijańskiej — Aldo Moro i bezskuteczne poszukiwania przez policję i wojsko miejsca jego ukrycia oraz sprawców gwałtu — wszystko to raz jeszcze wykazało, jak **konieczne jest szybkie wprowadzenie demokratycznego porządku w kraju** i zwiększenie odpowiedzialności aparatu sprawiedliwości.

Nie przypadkiem Włochy są terenem działania największej liczby organizacji terrorystycznych a w tym tzw. Czerwonych Brygad. Kryzys gospodarczy i społeczny, pewien bezwład w działaniu władzy — stały się po temu czynnikami sprzyjającymi.

Zakończenie kryzysu rządowego przez utworzenie monopartyjnego gabinetu chadeckiego, popieranego przez na nowo ukształtowaną większość parlamentarną (partie: chrześcijańsko-demokratyczna, komunistyczna, socjalistyczna, socjaldemokratyczna i republikańska) otwiera możliwości uporządkowania choćby częściowego najpilniejszych spraw kraju. Możliwości te są jednak ograniczone i wymagają zgodnego działania partii demokratycznych przez dłuższy okres.

Tymczasem — już po porwaniu Aldo Moro — „Czerwone Brygady" ostrzelały ciężko raniąc b. syndyka Turynu, dając znać o swej aktywnej obecności mimo wprowadzenia w życie ustawy, wyposażającej policję w możliwości bardziej energicznego działania. Jak widać — **rzeczywistość włoska jest wciąż wielce skomplikowana...**

W. SŁAWSKI

CO KOMU PRZESZKADZA?

Jeśli polscy hokeiści wygrają w sobotę, 25 marca 1978 roku, mecz z drużyną Japonii, to awans do grupy „A" mają — jak to się mówi — w kieszeni. Wszystko wskazuje, że mecz ten powinni wygrać, gdyż spisują się w Belgradzie znakomicie. Obserwatorzy wielokrotnie podkreślali, że występować w turnieju w charakterze faworyta nie jest łatwo. Nasi hokeiści pokazali, że są dobrze do turnieju mistrzowskiego przygotowani i rola faworyta wcale ich nie obciąża, nie krępuje. Są na pierwszym miejscu tabeli, mając po 5 spotkaniach 10 punktów, o dwa więcej od Japonii. Mają jednak ogromną przewagę w ilości strzelonych bramek: 41:11, podczas gdy Japonia ma 19:14.

Bądźmy więc dobrej myśli, gdyż Polacy grają swobodnie, akcje ich są przemyślane, konsekwentnie realizują założenia taktyczne. Nie chcę nic przesądzać przed ostatecznym wynikiem mistrzostw w Belgradzie. Ale gdyby nasi hokeiści zakwalifikowali się do grupy „A", to trzeba byłoby pomyśleć o tym, aby jednak w tej grupie utrzymali się.

Hokeiści narzekają — drobnostka — na... brak sprzętu. Brakuje łyżew, ochraniaczy, kijów hokejowych. Ponoć tylko Stoczniowiec i Podhale nie narzekają na brak sprzętu. Hokeistom z Nowego Targu pomaga Związek Podhalan z USA, a i producent kijów hokejowych — Bronisław Smoleń mieszka w pobliżu. A inni trenują kijami pozbijanymi gwoździami. Nowe kije dostają krótko przed meczem, co wcale nie zmienia sytuacji, bo każdy zawodnik musi sobie na długo przedtem kij przygotować, czyli przyzwyczaić się do niego.

Z tego widać jasno, że nie wystarczy wygrać w grupie „B", awansować do grupy „A", ale trzeba zrobić wszystko, aby nasza reprezentacja znów nie powróciła do grupy „B". Chodzi po prostu o to, aby ambicje i praca hokeistów znajdowała uznanie działaczy sportowych, wyrażane nie tylko uściskiem dłoni prezesa plus kopertą, ale też stałą troską o warunki szkolenia.

Hokeiści — jak do tej pory — zawodu nam nie sprawili i wszystko wydaje się wskazywać, że go nie sprawią. Również piłkarze, którzy są nieustannie w centrum zainteresowania kibiców, pierwszy międzynarodowy mecz kontrolny zakończyli zwycięstwem, wbijając drużynie Luksemburga 3 gole, tracąc jednego. Zwycięstwo wprawdzie nie imponujące, zważywszy, że reprezentacja Luksemburga zajmuje końcowe miejsce w tabeli europejskich drużyn, a Polska — bądź co bądź — ciągle formalnie jest trzecią drużyną świata. Do tej pory Polacy czterokrotnie spotkali się z reprezentacją Luksemburga i tylko raz zremisowali w 1967 roku. Pozostałe zwycięstwa były wyższe od odniesionego ostatnio.

Jeden ze sprawozdawców napisze po meczu: „Polacy grali nieźle w polu, ale mało skutecznie w akcjach ofensywnych". Być może realizowali określone założenia taktyczne, ale wydaje się, że taka realizacja powinna znajdować swoje zakończenie w skutecznym ataku na bramkę przeciwnika. Trudno byłoby przyjąć na przykład wyjaśnienie, że Polacy uczyli się skutecznej obrony, bo nie było się przed kim bronić, a jedno zagapienie obrony skończyło się bramką dla piłkarzy Luksemburga. Telewizja tego meczu nie pokazała i słusznie, bo mecze na ligowym poziomie mamy w telewizji dostateczną ilość. Nie będę wypominała, że pokazany mecz naszego argentyńskiego przeciwnika, drużyny RFN, z reprezentacją Anglii oglądało się z przyjemnością. Pomine milczeniem również argument, że śliska i mokra murawa zniechęcała naszych piłkarzy do bardziej zdecydowanych akcji, bo wystarczy sobie przypomnieć w jakich warunkach przyszło już nam grać z reprezentacją RFN w Monachium.

W szukaniu usprawiedliwień jesteśmy mistrzami świata i nie wiem, czy kiedy kto nam w tej trudnej sztuce dorówna. Oto trener drużyny piłkarskiej Lech, odpowiadając na pytania dziennikarza „Expressu Ilustrowanego", powiada, że powodem przegranego lania, jakie ten zespół dostał w Mielcu, był między innymi: „suchy teren boiska, do którego nasi zawodnicy nie są przyzwyczajeni". Tenże trener powiada, że „myśmy mieli dobre założenia taktyczne, które nie zostały zrealizowane". Czytając takie wyjaśnienia człowiekowi nie tylko ręce opadają, ale uszy więdną i smiecu ogarnia pusty. Ludzie, do czegośmy doszli? Toż przecież — idąc tym tropem — można będzie niedługo przeczytać, że nad boiskiem fruwało stado gołębi, do czego również piłkarze nie są przyzwyczajeni, albo w pobliżu nie ma stacji kolejowej i brak ryku syren elektrowozów wpłynął ujemnie na psychikę drużyny.

Wszyscy zgodnie podkreślają, że najlepszym graczem na boisku w Luksemburgu był Włodzimierz Lubański. Jacek Gmoch na wszelkie pytania o tego zawodnika niezmiennie odpowiada, że wejdzie do reprezentacji, jak będzie dobrze grał. A inni? Włodzimierz Lubański rzetelnie pracuje, bo gra w klubie, gdzie o miejscu w drużynie decyduje dobra forma i dobra gra. Nasi piłkarze mają na ogół miejsca w różnych zespołach zagwarantowane, wydaje się im więc, że nie muszą się zbytnio wysilać. Włodzimierzowi Lubańskiemu jakoś mokre boisko nie przeszkadzało, mimo, że też mógł się nabawić kontuzji i mieć kłopoty w swoim klubie. Niektórym naszym przeszkadza niemal wszystko: deszcz, słońce, wiatr, suche boisko...

BOGDA MADEJ

Sobota 12.12.1974 r.

„Właśnie wczoraj w przepompowni w rejonie Łodzi odbyła się uroczystość kończąca kilkuletnie dzieło budowy. Przepompownia jest sercem tej inwestycji. Z tego miejsca tłoczy się wodę do magistrali miejskiej... Po przemówieniu I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka następuje decydujący moment uroczystości. Inżynier grupy rozruchowej — R. Sabela wydaje polecenie uruchomienia pompy. W dyspozytorni włącza się odpowiednie urządzenia. Głośny szum w hali pomp oznacza, że woda z rurociągu tłoczona jest już od magistrali miejskiej w Łodzi. Skończył się okres budowy, rozpoczyna się normalna eksploatacja wszystkich urządzeń inwestycji sulejowskiej. Wiele tysięcy nowych mieszkań ma już wodę z nowego rurociągu".

Kiedy przeczytał te zdania wydrukowane na szpaltach „Głosu Robotniczego", podszedł do kranu, odkręcił go, nabrał wody do szklanki i wypił dwa łyki, smakując płyn, jak kiper degustujący wino. Mimo najszerszych chęci nie znalazł różnicy między tą wodą a tą, którą pił wczoraj. Nie dziwi go to zresztą: wie, że i wczoraj w łódzkich wodociągach krążyła piliczna woda, tyle że inną dostarczaną rurą. Wraca do gazety, ogląda zdjęcie przedstawiające wczorajszych gości Łodzi nad sterowniczym pulpitem i czyta:

„Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz na wielkich inwestycjach Łodzi. — Twórczą myślą i rzetelną pracą budujemy nową Łódź. — Sześć kolejnych obiektów pracuje już dla społeczeństwa". Takie oto tytuły uwypuklone kolorem, wielkością czcionki i innymi metramparskimi chwytami noszą sprawozdania z tego, co się wczoraj w Łodzi działo. Przegląda je i zaczyna pojmować, czemu podczas wczorajszego spaceru po alei Kościuszki zauważył oznaki wzmożonej troski o ład i porządek na ulicy, czemu pocztowy wieżowiec stał w gali flag i transparentów. Był on — jak się okazało — jednym z tych sześciu obiektów, które wczoraj zostały uroczyście oddane do użytku. Do tej szóstki należał także zbudowany opodal katedry kolejny wieżowiec Centralnego Laboratorium Dziewiarskiego, który przedwczoraj oglądał z synem. Ruszyła także — oficjalnie — nowa drukarnia Prasowych Zakładów Graficznych RSW „Prasa", rozpoczęły na dobre produkcję zmodernizowane Zakłady Jedwabnicze „Brokat" i nowe zakłady przemysłu mięsnego na Teofilowie. Porcję nowości zafundowali sobie własnym wysiłkiem łodzianie w tegorocznym gwiazdkowym prezencie. Na czele tej całej serii znalazła się jednak inwestycja sulejowska.

Z mniejszą aprobatą przyjmuje wiadomość, że na jutro przypada handlowa niedziela, a więc koło „Centralu" będzie niesłychany rwetes. Z taką przyjemną perspektywą na dzień następny siada do maszyny i pisze:

„Wróciłem do domu i stwierdziłem, że panie spały jeszcze w najlepsze, wobec czego zabrałem się do pitraszenia sobie śniadania, bo dłuższe przebywanie w stanie czczości jest mi nieznośne. Raz jeszcze stwierdziłem, że turystyczna kuchenka zamontowana na butli z gazem jest urządzeniem genialnym, a gdy po śniadaniu wynosiłem na śmietnik skorupki po jajkach i puszkę po mielonce, doszedłem do wniosku, że ten śmietnik ulokowany jest idiotycznie, na wprost kuchennego okna. Do niedawna zasłaniały go po trosze leżące na trawniku gałęzie, ale teraz, gdy przeniosłem je gdzie indziej, śmietnik po prostu wpychał się w oczy każdej siedzącej w kuchni osoby. Najlepiej byłoby urządzić go nad samą skarpą północnego wąwozu; szłoby się do niego wówczas między szopą a stertą przemieszczonych gałęzi. Nie zastanawiając się długo wyciągnąłem z szopy łopatę i zabrałem się do roboty. Pod darnią, którą zdjąłem starannie i ułożyłem na boku, trafiłem na szczery piach, w którym kopało się łatwo. Trochę tylko kłopotów sprawiały rozgałęzione w tym piachu korzenie.

W dobre pół godziny po rozpoczęciu roboty, gdym wlazł już po pas do wykopanego dołu i nadal go pogłębiałem, zauważyłem, że przy studni kręci się Barbara. Okrzyknąłem ją usłyszałem parę żartobliwych uwag na temat ciągle coś „przestawiających" i poprawiających maniaków, sam wyrzekłem kilka zdań o skostnieniu i konserwatyzmie niektórych osób i dalej grzebałem się w swoim dole. W tym samym mniej więcej miejscu zakopywałem przed trzydziestu laty telefon i powielacz, skonfiskowane przez partyzantów w niedalekim urzędzie gminnym, a przyniesione mi do schowania przez wystraszonego nieco dowódcę miejscowego zespołu dywersyjnego. Przyniósł mi on te skarby już po zmroku odwołując mnie z werandy, na której siedziałem z Barbarą — nie była wówczas moją żoną — a więc nie miałem wcale ochoty zajmować się jakimś nikomu niepotrzebnym telefonem. Z tego telefonu po trzydziestu latach niewiele zostało chyba w tym piachu. Najpewniej zresztą już wcześniej, w rok po schowaniu, wygrzebali go Niemcy przy okazji rycia umocnień, którymi obkopali dokumentnie dom na cyplu, a na skraju nadrzecznej skarpy urządzili drewniany bunkier ze stropem z trzech tęgich warstw sosnowych pni. W rezultacie tych wojennych wykopek zarysowała się lekko ściana domu.

Wylazłem z dołu przyjrzałem mu się uważnie i uznałem, że wystarczy na wcale przyzwoity śmietnik. Teraz tylko należało część wyrzuconego piachu zasypać stary śmietnik i sprawa załatwiona. Poszedłem po wiadro, którym zamierzałem nosić ten piach, a kiedy postawiłem je na trawie i zacząłem napełniać, zawadziłem wzrokiem o kupę butelek i buteleczek leżących w trawie opodal, a zbieranych ongiś starannie przez Bolesława-czołgistę. Problem śmietnika i śmieci, a raczej ulokowania śmieci, tak by nie zaświniały naturalnego środowiska — w tym wypadku brzeżniaka — był, jak się okazało, znacznie poważniejszy, niż się to początkowo wydawało. Przedwczoraj wojowałem z kupą żelaznych odpadków dziś musiałem rozwiązać sprawę „zużytych opakowań szklanych", jak powiedziałby ekonomista. Na kilkaset kilogramów żelaznego i stalowego złomu można było znaleźć amatora, ale na kilkadziesiąt kilogramów brudnych i ponadłukiwanych butelek — na pewno nie. Składanie tych butelek na porządną, równą kupę także nie było żądanym rozwiązaniem.

Zamiast ładować do wiadra piach, napakowałem w nie butelki, zaniosłem je do starego śmietnika i z brzękiem i łomotem wysypałem w dół. Uwijające się po kuchni panie zainteresowały się tym hałasem, zażądały wyjaśnień i znów nie żałowały sobie uszczypliwych komentarzy, na które postanowiłem nie zwracać uwagi. Wynalazłem w szopie drugie wiadro, trochę tylko dziurawe, więc do moich celów przydatne, odszukałem brezentowe rękawice i z dwoma wiadrami w rękach łaziłem od kupy butelek i innych szklanych skorup do starego śmietnika i z powrotem. Znajdowałem nawet pewno rozrywkę we wrzucaniu tych butelek do dołu tak, by tłukły się możliwie dokładnie; zakopywanie całych butelek nie miałoby sensu, za wiele zajmowałyby miejsca.

Wreszcie w trawie pod brzozami pozostały jedynie drobne ułomki szkła, które wygrzebałem żelaznymi grabiami i zaniosłem do dołu. Teraz zabrałem się do wypełniania starego śmietnika piachem i układaniem na nim darni. Gdym wszedł na zasypany już dół, zdawało mi się, że stąpam po czymś w rodzaju kożucha porastającego bajoro. Piasek uginał mi się pod nogami, a każde stąpnięcie odzywało się jakimiś głuchymi chrzestami i chrobotami. Między kawałkami zasypanego szkła zostało widocznie sporo wolnej przestrzeni. Zamula ja dopiero deszcze pozwalające na dobre osiąść świeżo narzuconej warstwie piasku.

Kiedym skończył, spostrzegłem, że kuchnia jest pusta. Umyłem się pod studnią schowałem narzędzia i powędrowałem na cypel. Znalazłem tam swoje panie walkoniące się na leżakach w blasku słońca, leniwie wędrującego nad łąkami.

— Dobrze wam tu?

— Dobrze.

— To dobrze.

Na łąkach miarowo kiwali się kosiarze, kobiety rozgrzebywały pokosy końcami grabisk, popetane konie kicały niezdarnie. Daleko niosło się stukanie młotka, którym ktoś klepał sfatygowaną już widocznie kosę, ale gdzie był ten ktoś, tego przez dłuższą chwilę nie mogłem wypatrzyć. Po dłuższym wypatrywaniu dojrzałem wreszcie tego klepiącego. Siedział w cieniu wyprzęgniętego wozu. Innego cienia nie można było na łące znaleźć.

— Kiedy chcecie jeść obiad?

— Kiedy nam się zechce.

— A co będziecie robić po obiedzie?

— Co nam się spodoba.

Zrozumiałem, że żadnego programu dnia ustalić z nimi nie można i pogodziłem się z tym. Byczenie się na słońcu było także programem i to wcale przyjemnym. Przywlokłem sobie na cypel gumowy materac i uwaliłem się na nim na brzuchu. Oparłszy brodę na dłoniach oglądałem uważnie materac: granatowy tam, gdzie padał cień mojej głowy, błękitny tam, gdzie rozjaśniało go pełne słońce; potem oglądałem piątaninę źdźbeł trawy zielenieją cej jakaś podświetloną zielonością. Na jedną z łodyżek gramoliła się pracowicie mała biedronka. Niżej w gąszczu nad samą ziemią spieszyły gdzieś dwie mrówki. Wysoko, w gałęziach usłyszałem cmokanie wiewiórki, ale nie chciało mi się podnieść głowy.

— Wiewiórka,

— Gdzie?

— Nie wiem. Gdzieś nad nami.

— Niech sobie będzie.

Stukanie młotka o kosę ucichło. Zaszczebiotał gdzieś blisko szpak, liście brzóz szemrały pod lekkim powiewem. Było cicho, słonecznie. Zapowiadał się tęgi upał.

Dobrze po południu oznajmiłem, że nie mam już sił do dalszego walkonienia się i muszę trochę połazić. Barbara oświadczyła, że dotrzyma mi towarzystwa i ruszyliśmy ścieżką, którą znaliśmy od trzydziestu przeszło lat, do wiejskiej drogi. Niewiele się na niej i przy niej przez ten czas zmieniło i dopiero tam gdzie zbliżała się do wsi, ujrzeliśmy coś nowego: kilkanaście wysokich żelbetowych słupów złożonych starannie wzdłuż rowu.

— Człowieku, czyżbyśmy mieli doczekać się tu elektryczności?

— Kobieto, może się i to zdarzyć.

Przecięliśmy drogę i piaszczystym wygonem zbiegającym między zarośla mi jeżyn ku podmokłej łączce weszliśmy na miedzę rozdzielającą kartoflisko od łanu jakiejś pastewnej mieszanki. Szliśmy po tej miedzy jak po wąskiej grobli, stopy zsuwały nam się raz po raz w bruzdy i musieliśmy uważnie patrzeć pod nogi. Nie była to droga szczególnie wygodna, ale właśnie ta miedza najbliżej było do lasu, który wysoką szumiącą ścianą zamykał kartoflisko i zagon mieszanki. Tylko w jednym miejscu w ścianie tej była krótka luka: tam gdzie w las wchodziły zawieszone u ramion stalowych masztów, błyszczące w słońcu przewody biegnące wysoko nad polem.

— Co to jest?

— Linia. Z Bronisławowa w świat, czy odwrotnie.

— Skąd wiesz?

— Od Budzyńskiej.

Weszliśmy do lasu i przeszedłszy kilkanaście kroków natknęliśmy się na szeroką przesiekę zawaloną świeżymi jeszcze gałęziami zastawiona sagami szczap pełną pni żółknących nisko nad ziemią. Na środku tego przeszywającego obszar lasu rumowiska stały z dala od siebie stalowe maszty, rozkraczone na betonowych podporach i rozkładające ażurowe ramiona, związane trzema niźmi przewodów zawieszonych nad przesieką. Przeszliśmy ją w poprzek plącząc się i potykając wśród leżących na ziemi gałęzi. Dalej las był, jak zawsze nietknięty i spokojny. Przebiegające w nim dukty zarosły od dawna trawą i wydawały się równie stare, jak i sam las, a starsze od rosnących zwartym gąszczem zagajników. Szliśmy po tych dobrze nam znanych duktach, wzdłuż zagajniczków, które były tam gdzie być powinny wzdłuż posadzonego na skraju młodej dąbrowy szpaleru modrzewi, które wydawały się podrosnąć znacznie. Przystanęliśmy, aby nie płoszyć siedzącej na środku duktu wiewiórki a potem spłoszyliśmy ją rozmyślnie, bo siedziała i siedziała na tym dukcie, jakby miała tam siedzieć całą wieczność. Tam gdzie dukt przecinał stary rów przeciwczołgowy, zarośnięty gęstwiną krzewów i trzcin, wypełniony zielonkawą wodą, naszliśmy zaskrońca wylegującego się w słońcu. Wąż odpełzał tak leniwie, że zdążyłem go dogonić i schwytać, ale puściłem go zaraz, bo Barbara narobiła wrzasku, a gad zalatywał jakimś duszącym cuchem".

Przerywa pisanie. Wstaje, przez chwilę stoi przy oknie i spogląda na szarą, ślepą ścianę starej fabryki stojącej za niewielkim podwórzem o kilkanaście metrów od okna, potem zabiera się do porządkowania książek. Około wpół do trzeciej wychodzi z domu. Przemyka się między samochodami stojącymi na parkingu przed „Centralem" i idzie pod ścianą tej starej fabryki, na którą niedawno spoglądał naprzeciwko widzi wielkie okno, w którym niezmiennie pieką się na rożnie kury. W starej fabryce parapety okien parterowych, znajdują się omal, że na poziomie parkingu. Wydaje się, jakby stara buda zapadła się w ziemię. Stoi jednak uparcie, przechodzi co trochę w inne ręce i czeka nie wiadomo na co tuż przy boku nowoczesnego magazynu i na zapleczu nieco starszego, ale także przyzwoitego domu.

Mija płaczącą wierzbę rosnącą tuż przy narożniku starego budynku, przechodzi obok witryn pełnych aparatów radiowych i telewizyjnych i już jest na podgrzewanym ciepłociągiem skwerze przed restauracją „Europa", w której — jak głosi napis, — na życzenie publiczności wznowiono striptiz. Na płytach chodnika leży warstwa mazi, na trawnikach bieleją resztki śniegu, brudnego niczym na przedwiośniu. Bez żadnej satysfakcji zmierza ku wyblakłej kurtynie wymalowanej na ślepej ścianie narożnej kamienicy. Spogląda w niebo i myśli, że tymczasem nie zanosi się na deszcz, ale nie dałby głowy, czy nie będzie padać za godzinę czy dwie.

Po przejściu ulicy Żwirki idzie przez chwilę przeznaczonym na przyszłą ulicę skwerkiem w stronę czekającej rozbiórki, ociemniałej kamienicy. Widzi przed sobą mur biegnący w poprzek osi alei Kościuszki i dach odlewni, która stoi gdzieś za tym murem. Póki ta odlewnia będzie niezbędna, póty aleja Kościuszki zatrzymywać się będzie przed tym murem i nie będzie arterią przebiegającą miasto z północy na południe. Dopiero zakończenie budowy odlewni w Koluszkach otworzy ulicy zielone światło w drodze na południe.

(Dziś odlewnia w Koluszkach jest już wybudowana i rozpoczęła pracę. Tylko

Edward Szuster

WĘDRÓWKI ZIMĄ I LATEM

OPOWIEŚĆ

obiektów pracuje już dla społeczeństwa". Takie oto tytuły uwypuklone kolorem, wielkością czcionki i innymi metramparskimi chwytami noszą sprawozdania z tego, co się wczoraj w Łodzi działo. Przegląda je i zaczyna pojmować, czemu podczas wczorajszego spaceru po alei Kościuszki zauważył oznaki wzmożonej troski o ład i porządek na ulicy, czemu pocztowy wieżowiec stał w gali flag i transparentów. Był on — jak się okazało — jednym z tych sześciu obiektów, które wczoraj zostały uroczyście oddane do użytku. Do tej szóstki należał także zbudowany opodal katedry kolejny wieżowiec Centralnego Laboratorium Dziewiarskiego, który przedwczoraj oglądał z synem. Ruszyła także — oficjalnie — nowa drukarnia Prasowych Zakładów Graficznych RSW „Prasa", rozpoczęły na dobre produkcję zmodernizowane Zakłady Jedwabnicze „Brokat" i nowe zakłady przemysłu mięsnego na Teofilowie. Porcję nowości zafundowali sobie własnym wysiłkiem łodzianie w tegorocznym gwiazdkowym prezencie. Na czele tej całej serii znalazła się jednak inwestycja sulejowska.

Z mniejszą aprobatą przyjmuje wiadomość, że na jutro przypada handlowa niedziela, a więc koło „Centralu" będzie niesłychany rwetes. Z taką przyjemną perspektywą na dzień następny siada do maszyny i pisze:

„Wróciłem do domu i stwierdziłem, że panie spały jeszcze w najlepsze, wobec czego zabrałem się do pitraszenia sobie śniadania, bo dłuższe przebywanie w stanie czczości jest mi nieznośne. Raz jeszcze stwierdziłem, że turystyczna kuchenka zamontowana na butli z gazem jest urządzeniem genialnym, a gdy po śniadaniu wynosiłem na śmietnik skorupki po jajkach i puszkę po mielonce, doszedłem do wniosku, że ten śmietnik ulokowany jest idiotycznie, na wprost kuchennego okna. Do niedawna zasłaniały go po trosze leżące na trawniku gałęzie, ale teraz, gdy przeniosłem je gdzie indziej, śmietnik po prostu wpychał się w oczy każdej siedzącej w kuchni osoby. Najlepiej byłoby urządzić go nad samą skarpą północnego wąwozu; szłoby się do niego wówczas między szopą a stertą przemieszczonych gałęzi. Nie zastanawiając się długo wyciągnąłem z szopy łopatę i zabrałem się do roboty. Pod darnią, którą zdjąłem starannie i ułożyłem na boku, trafiłem na szczery piach, w którym kopało się łatwo. Trochę tylko kłopotów sprawiały rozgałęzione w tym piachu korzenie.

W dobre pół godziny po rozpoczęciu roboty, gdym wlazł już po pas do wykopanego dołu i nadal go pogłębiałem, zauważyłem, że przy studni kręci się Barbara. Okrzyknąłem ją usłyszałem parę żartobliwych uwag na temat ciągle coś „przestawiających" i poprawiających maniaków, sam wyrzekłem kilka zdań o skostnieniu i konserwatyzmie niektórych osób i dalej grzebałem się w swoim dole. W tym samym mniej więcej miejscu zakopywałem przed trzydziestu laty telefon i powielacz, skonfiskowane przez partyzantów w niedalekim urzędzie gminnym, a przyniesione mi do schowania przez wystraszonego nieco dowódcę miejscowego zespołu dywersyjnego. Przyniósł mi on te skarby już po zmroku odwołując mnie z werandy, na której siedziałem z Barbarą — nie była wówczas moją żoną — a więc nie miałem wcale ochoty zajmować się jakimś nikomu niepotrzebnym telefonem. Z tego telefonu po trzydziestu latach niewiele zostało chyba w tym piachu. Najpewniej zresztą już wcześniej, w rok po schowaniu, wygrzebali go Niemcy przy okazji rycia umocnień, którymi obkopali dokumentnie dom na cyplu, a na skraju nadrzecznej skarpy urządzili drewniany bunkier ze stropem z trzech tęgich warstw sosnowych pni. W rezultacie tych wojennych wykopek zarysowała się lekko ściana domu.

Wylazłem z dołu przyjrzałem mu się uważnie i uznałem, że wystarczy na wcale przyzwoity śmietnik. Teraz tylko należało część wyrzuconego piachu zasypać stary śmietnik i sprawa załatwiona. Poszedłem po wiadro, którym zamierzałem nosić ten piach, a kiedy postawiłem je na trawie i zacząłem napełniać, zawadziłem wzrokiem o kupę butelek i buteleczek leżących w trawie opodal, a zbieranych ongiś starannie przez Bolesława-czołgistę. Problem śmietnika i śmieci, a raczej ulokowania śmieci, tak by nie zaświniały naturalnego środowiska — w tym wypadku brzeżniaka — był, jak się okazało, znacznie poważniejszy, niż się to początkowo wydawało. Przedwczoraj wojowałem z kupą żelaznych odpadków dziś musiałem rozwiązać sprawę „zużytych opakowań szklanych", jak powiedziałby ekonomista. Na kilkaset kilogramów żelaznego i stalowego złomu można było znaleźć amatora, ale na kilkadziesiąt kilogramów brudnych i ponadłukiwanych butelek — na pewno nie. Składanie tych butelek na porządną, równą kupę także nie było żądanym rozwiązaniem.

Zamiast ładować do wiadra piach, napakowałem w nie butelki, zaniosłem je do starego śmietnika i z brzękiem i łomotem wysypałem w dół. Uwijające się po kuchni panie zainteresowały się tym hałasem, zażądały wyjaśnień i znów nie żałowały sobie uszczypliwych komentarzy, na które postanowiłem nie zwracać uwagi. Wynalazłem w szopie drugie wiadro, trochę tylko dziurawe, więc do moich celów przydatne, odszukałem brezentowe rękawice i z dwoma wiadrami w rękach łaziłem od kupy butelek i innych szklanych skorup do starego śmietnika i z powrotem. Znajdowałem nawet pewno rozrywkę we wrzucaniu tych butelek do dołu tak, by tłukły się możliwie dokładnie; zakopywanie całych butelek nie miałoby sensu, za wiele zajmowałyby miejsca.

Wreszcie w trawie pod brzozami pozostały jedynie drobne ułomki szkła, które wygrzebałem żelaznymi grabiami i zaniosłem do dołu. Teraz zabrałem się do wypełniania starego śmietnika piachem i układaniem na nim darni. Gdym wszedł na zasypany już dół, zdawało mi się, że stąpam po czymś w rodzaju kożucha porastającego bajoro. Piasek uginał mi się pod nogami, a każde stąpnięcie odzywało się jakimiś głuchymi chrzestami i chrobotami. Między kawałkami zasypanego szkła zostało widocznie sporo wolnej przestrzeni. Zamula ja dopiero deszcze pozwalające na dobre osiąść świeżo narzuconej warstwie piasku.

Kiedym skończył, spostrzegłem, że kuchnia jest pusta. Umyłem się pod studnią schowałem narzędzia i powędrowałem na cypel. Znalazłem tam swoje panie walkoniące się na leżakach w blasku słońca, leniwie wędrującego nad łąkami.

— Dobrze wam tu?

— Dobrze.

— To dobrze.

Na łąkach miarowo kiwali się kosiarze, kobiety rozgrzebywały pokosy końcami grabisk, popetane konie kicały niezdarnie. Daleko niosło się stukanie młotka, którym ktoś klepał sfatygowaną już widocznie kosę, ale gdzie był ten ktoś, tego przez dłuższą chwilę nie mogłem wypatrzyć. Po dłuższym wypatrywaniu dojrzałem wreszcie tego klepiącego. Siedział w cieniu wyprzęgniętego wozu. Innego cienia nie można było na łące znaleźć.

— Kiedy chcecie jeść obiad?

— Kiedy nam się zechce.

— A co będziecie robić po obiedzie?

— Co nam się spodoba.

Zrozumiałem, że żadnego programu dnia ustalić z nimi nie można i pogodziłem się z tym. Byczenie się na słońcu było także programem i to wcale przyjemnym. Przywlokłem sobie na cypel gumowy materac i uwaliłem się na nim na brzuchu. Oparłszy brodę na dłoniach oglądałem uważnie materac: granatowy tam, gdzie padał cień mojej głowy, błękitny tam, gdzie rozjaśniało go pełne słońce; Potem oglądałem piątaninę źdźbeł trawy zielenieją cej jakaś podświetloną zielonością. Na jedną z łodyżek gramoliła się pracowicie mała biedronka. Niżej w gąszczu nad samą ziecia, spieszyły gdzieś dwie mrówki. Wysoko, w gałęziach usłyszałem cmokanie wiewiórki, ale nie chciało mi się podnieść głowy.

— Wiewiórka,

— Gdzie?

— Nie wiem. Gdzieś nad nami.

— Niech sobie będzie.

Stukanie młotka o kosę ucichło. Zaszczebiotał gdzieś blisko szpak, liście brzóz szemrały pod lekkim powiewem. Było cicho, słonecznie. Zapowiadał się tęgi upał.

Dobrze po południu oznajmiłem, że nie mam już sił do dalszego walkonienia się i muszę trochę połazić. Barbara oświadczyła, że dotrzyma mi towarzystwa i ruszyliśmy ścieżką, którą znaliśmy od trzydziestu przeszło lat, do wiejskiej drogi. Niewiele się na niej i przy niej przez ten czas zmieniło i dopiero tam gdzie zbliżała się do wsi, ujrzeliśmy coś nowego: kilkanaście wysokich żelbetowych słupów złożonych starannie wzdłuż rowu.

— Człowieku, czyżbyśmy mieli doczekać się tu elektryczności?

— Kobieto, może się i to zdarzyć.

Przecięliśmy drogę i piaszczystym wygonem zbiegającym między zarośla mi jeżyn ku podmokłej łączce weszliśmy na miedzę rozdzielającą kartoflisko od łanu jakiejś pastewnej mieszanki. Szliśmy po tej miedzy jak po wąskiej grobli, stopy zsuwały nam się raz po raz w bruzdy i musieliśmy uważnie patrzeć pod nogi. Nie była to droga szczególnie wygodna, ale właśnie ta miedza najbliżej było do lasu, który wysoką szumiącą ścianą zamykał kartoflisko i zagon mieszanki. Tylko w jednym miejscu w ścianie tej była krótka luka: tam gdzie w las wchodziły zawieszone u ramion stalowych masztów, błyszczące w słońcu przewody biegnące wysoko nad polem.

— Co to jest?

— Linia. Z Bronisławowa w świat, czy odwrotnie.

— Skąd wiesz?

— Od Budzyńskiej.

Weszliśmy do lasu i przeszedłszy kilkanaście kroków natknęliśmy się na szeroką przesiekę zawaloną świeżymi jeszcze gałęziami zastawiona sagami szczap pełną pni żółknących nisko nad ziemią. Na środku tego przeszywającego obszar lasu rumowiska stały z dala od siebie stalowe maszty, rozkraczone na betonowych podporach i rozkładające ażurowe ramiona, związane trzema niźmi przewodów zawieszonych nad przesieką. Przeszliśmy ją w poprzek plącząc się i potykając wśród leżących na ziemi gałęzi. Dalej las był, jak zawsze nietknięty i spokojny. Przebiegające w nim dukty zarosły od dawna trawą i wydawały się równie stare, jak i sam las, a starsze od rosnących zwartym gąszczem zagajników. Szliśmy po tych dobrze nam znanych duktach, wzdłuż zagajniczków, które były tam gdzie być powinny wzdłuż posadzonego na skraju młodej dąbrowy szpaleru modrzewi, które wydawały się podrosnąć znacznie. Przystanęliśmy, aby nie płoszyć siedzącej na środku duktu wiewiórki a potem spłoszyliśmy ją rozmyślnie, bo siedziała i siedziała na tym dukcie, jakby miała tam siedzieć całą wieczność. Tam gdzie dukt przecinał stary rów przeciwczołgowy, zarośnięty gęstwiną krzewów i trzcin, wypełniony zielonkawą wodą, naszliśmy zaskrońca wylegającego się w słońcu. Wąż odpełzał tak leniwie, że zdążyłem go dogonić i schwytać, ale puściłem go zaraz, bo Barbara narobiła wrzasku, a gad zalatywał jakimś duszącym cuchem".

Przerywa pisanie. Wstaje, przez chwilę stoi przy oknie i spogląda na szarą, ślepą ścianę starej fabryki stojącej za niewielkim podwórzem o kilkanaście metrów od okna, potem zabiera się do porządkowania książek. Około wpół do trzeciej wychodzi z domu. Przemyka się między samochodami stojącymi na parkingu przed „Centralem" i idzie pod ścianą tej starej fabryki, na którą niedawno spoglądał naprzeciwko widzi wielkie okno, w którym niezmiennie pieką się na rożnie kury. W starej fabryce parapety okien parterowych, znajdują się omal, że na poziomie parkingu. Wydaje się, jakby stara buda zapadła się w ziemię. Stoi jednak uparcie, przechodzi co trochę w inne ręce i czeka nie wiadomo na co tuż przy boku nowoczesnego magazynu i na zapleczu nieco starszego, ale także przyzwoitego domu.

Mija płaczącą wierzbę rosnącą tuż przy narożniku starego budynku, przechodzi obok witryn pełnych aparatów radiowych i telewizyjnych i już jest na podgrzewanym ciepłociągiem skwerze przed restauracją „Europa", w której — jak głosi napis, — na życzenie publiczności wznowiono striptiz. Na płytach chodnika leży warstwa mazi, na trawnikach bieleją resztki śniegu, brudnego niczym na przedwiośniu. Bez żadnej satysfakcji zmierza ku wyblakłej kurtynie wymalowanej na ślepej ścianie narożnej kamienicy. Spogląda w niebo i myśli, że tymczasem nie zanosi się na deszcz, ale nie dałby głowy, czy nie będzie padać za godzinę czy dwie.

Po przejściu ulicy Żwirki idzie przez chwilę przeznaczonym na przyszłą ulicę skwerkiem w stronę czekającej rozbiórki, ociemniałej kamienicy. Widzi przed sobą mur biegnący w poprzek osi alei Kościuszki i dach odlewni, która stoi gdzieś za tym murem. Póki ta odlewnia będzie niezbędna, póty aleja Kościuszki zatrzymywać się będzie przed tym murem i nie będzie arterią przebiegającą miasto z północy na południe. Dopiero zakończenie budowy odlewni w Koluszkach otworzy ulicy zielone światło w drodze na południe.

(Dziś odlewnia w Koluszkach jest już wybudowana i rozpoczęła pracę. Tylko miejscu spychacze i inne maszyny szykują miejsce pod budowę nowego zakładu politechniki. Jej gmach główny — stara fabrykę Rosenblatta — widać z Wólczańskiej doskonale, bo nic jej nie zasłania).

Po przeciwnej stronie ciągnie się przedziurawiona brama wjazdowa ściana Zakładów Strzelczyka, tych które po raz pierwszy oglądał trzydzieści prawie lat temu, zaraz potem, jak zwiedzał je Tito. Zwróciła wtedy jego uwagę wielka szlifierka noszaca na korpusie wielki napis BILETTER. W reportażu, jaki potem napisał, użył zwrotu: „Biletter szlifuje" i wydawało mu się to bardzo dowcipne.

cdn.

zdarzenia i zwierzenia

MY I ONI...

Dziennikarstwo jest zawodem, który po latach potrafi przynieść chwilę smutnej refleksji nawet, gdy piszący od goryczy bardzo się odżegnuje. Tak choćby, jak Jerzy Urban, który swoją refleksję zakończył słowami: „jest to refleksja wyzbyta goryczy i nawet zdziwienia..." („Szpilki" nr 12).

Zdziwienie? Oczywiście, nie ale co by tam Urban pisał, jest jego publikacja niezwykle trafnym zapisem pewnego stanu rzeczy.

O cóż jednak chodzi? Ano, o to, że ostre i kontrowersyjne publikacje Urbana zyskały ostatnio bardzo dobrą prasę u tych jego czytelników którzy 10—15 lat temu gotowi byli Urbana unieważnić.

Pisze felietonista: „Przekonania niektórych starszych panów z przeszłością zmieniały się gwałtownie, poczynając od chwili, kiedy źródłem ich zaopatrzenia materialnego stał się Zakład Ubezpieczeń Społecznych (...). Żałuję jednak, że niektórzy starsi panowie z przeszłością w latach, kiedy ich mądrość była najwyższa i niepodważalna, w tej swojej mądrości nie umieli przewidzieć, że być może na starość spodoba im się moja pisanina, więc nie warto mnie to skądś wyrzucić, to pogonić, ówdzie postawić szlaban..."

Pozwoliłem sobie na ten przydługi cytat, bowiem Jarzy Urban napisał co prawda rzecz od siebie i o sobie, ale w jakiś sposób dotyczącą większości piszących. Czyż nie może najść mnie podobna refleksja gdy niegdysiejsza Bardzo Ważna Osoba przysyła do mnie w interwencyjnej sprawie swoich znajomych rekomendując bardzo pięknie (i chyba ponad miarę) mój krytycyzm i dociekliwość... Ta sama Bardzo Ważna Osoba za te same cechy żądała przed laty, mojej głowy.

Dziś ja głowę nadal mam na tym samym miejscu, ale Osoba przeszła na utrzymanie ZUS, więc raptem docenia „moje boje" o różne codzienne i oczywiste sprawy. Cieszy mnie ta zmiana stanowiska, ale nie do tego stopnia, abym nie czuł na języku osadu goryczy.

Dziś bowiem słyszę również, że ktoś tam mnie „przeczołga", a inny „wypożyczy" (są to współczesne eufemizmy dawnego opeeru) i wiem, że przyjdzie czas zmiany stanowiska i czas zmiany zdania na temat mojej pisaniny i moich bojów o różne oczywiste sprawy. I dla dzisiejszych Katonów stanę się raptem mądry i dociekliwy.

Nietrudno to wszystko zagadać zdartym komunałem, że „tylko krowa nie zmienia zdania", albo cytatem, że „nie myli się tylko ten, co nic nie robi". To wszystko prawda — a jednak zza ironicznego, krzywego dowcipem tekstu Urbana co i raz wychylały się twarze ludzi, którzy tak łatwo odzwyczajają się od słowa „my" i pewnego ranka zaczynają wołać: „oni"...

Ilekroć obserwuję te metamorfozy, nie mogę wyjść ze zdziwienia, że im ta zmiana deklinacji przychodzi tak łatwo. Zbyt łatwo, abym mógł wierzyć w to ich niegdysiejsze „my". Tym bardziej więc nie wierzę w dzisiejsze, oskarżycielskie „oni"...

Tekst Jerzego Urbana, który mnie tak poruszył swoją prawdą i goryczą, tekst zatytułowany „Obywatelu Ministrze towarzyszu Prezesie, panie redaktorze" jest refleksją nad zjawiskiem daleko groźniejszym, niż można by sądzić. I może to zjawiwsko godne jest nie tylko pióra publicysty?

WIDOK

lewym okiem

O ZIELONYM GROSZKU

W zamierzchłej epoce „przedwrześniowej" stałym rekwizytem tak zwanych męskich rozmów była ćwiartka. Pójdziemy na ćwiartkę, postawię ci ćwiartkę — tak się mówiło. Jeśli ktoś był schiany doszczętnie, wiedziało się, że musiał wychylić „niejedną ćwiartkę". „Ćwiartuchna stanowiła jedno z ulubionych słów najpopularniejszego wówczas w stolicy facecjonisty — Wiecha

Dziś to słowo jest absolutnym archaizmem. Od wielu lat nie ma ćwiartek i dorosło już całe pokolenie Polaków, dla którego picie alkoholu zaczyna się — i musi się zaczynać — od pół litra. Nawet w lokalu mniej zamówić nie możesz. Miałem przez wiele lat ulubioną i stałą normę dwuosobową: ćwiartka z kropką Czyli ćwierć czystej i setka gorzkiej, którą następnie kelner przy stoliku wlewał i mieszał z wielkim nabożeństwem Teraz jeśli zamówię ćwiartkę to i tak przyniosą mi pół litra w butelce, jako że karafki wyszły całkiem z użycia. W karafkach można fałszować wódę, o czym dawniejsi kelnerzy i barmanki nie wiedzieli. A już jak stoi na stole otwarte pół litra, to się i musi wypić, nie mówiąc o tym, że żadne indywidualne zaprawianie taką czy inną „kropką" nie jest możliwe.

Karafki wyszły z użycia razem z ćwierćlitrówkami i razem z kieliszkami, takimi „do wódki", czyli po 25 gramów. Nie dostaniecie takich jak Polska długa i szeroka Widocznie huty pozliczane są w kilogramach wyrobów szklanych i nie opłaci im się produkować byle drobiazgów. Bardziej opłaci się rozpijać szerokie rzesze rodaków, wytwarzać i utrwalać ohydny, nieobyczajny obyczaj chlania musztardówkami, nie mniej niż pół litra na wiecznie zamroczony łeb.

Przez pewien czas było w sprzedaży masło w malutkich, jednoporcjowych paczuszkach Na podróż było to idealne rozwiązanie. Takie same paczuszki podawano w lokalach, co już nie było dyktowane wygodą, ale wyglądało estetycznie i elegancko. Nie ma już takich paczuszek. Widocznie nie opłaciło się porcjowanie.

Ile można zjeść na raz zielonego groszku" Bardzo lubię zielony groszek. Niestety żeby zjeść parę deko, muszę kupić pół kilograma, bo mniejszych puszek nie ma. Nie opłaciły się koszty opakowania, i to jest na pewno prawda. Tak jak prawdą jest, że w ogóle do człowieka trzeba ciągle dopłacać i lepiej żeby się wcale nie rodził. Chodzi taki i ciągle czegoś chce, a jeszcze przy tym marudzi i narzeka. Czy to tak trudno zaprosić trochę krewnych i znajomych, otworzyć puszkę z groszkiem i zjeść od razu z apetytem, na cześć odnośnej wytwórni?

Jedząc groszek nie zapominajmy o konieczności skorygowania danych statystycznych naszego handlu. Podawane tam stany zapasów w skali kraju są po prostu nieprawdziwe. Ilości artykułów spożywczych, znajdujące się w składnicach, w hurcie, półhurcie i detalu należy podwoić, bo przecież istnieją jeszcze zapasy u konsumentów U każdego z nas w domu Nieprzebrane ilości napoczętych puszek, worków, pudeł paczek. Zresztą także nie napoczętych: kupuje się przeciez w obawie, że jutro moze w sklepach zabraknąć. Wszystkie panie domu wyzbywają się małych a świetnych lodówek, kupując masowo coraz to większe i pakowniejsze. Trzeba zmagazynować coraz obfitsze zakupy. Trzeba kupować coraz więcej, bo coraz większe są opakowania jednostkowe, a także dlatego, że w handlu towar dziś jest, jutro nie ma. A nie ma jutro dlatego, że wszyscy kupują coraz więcej, a kupują coraz więcej, bo...

Nie wyplączemy się z tego błędnego koła. Nie zrozumiemy tego bez wódki. Oczywiście — co najmniej pół litra. Musztardówką!

ĆWIEK

propozycje

WĄSY I PAPIEROS

Dziś zagadka. Pytanie brzmi: gdzie zdarzyły się dwa opisane poniżej zdarzenia?

Zdarzenie pierwsze. W przedsiębiorstwie komunikacyjnym wśród wielu kierowców pracował również młody człowiek J.T. Był kierowcą taksówki i woził swoich pasażerów po wielkim mieście. W przedsiębiorstwie tym obowiązywała bardzo ostra dyscyplina. Dotyczyła ona oczywiście nie tylko punktualnego rozpoczynania pracy, solidnego wyliczania się z przejechanych kursów, kończenia pracy w ściśle określonym czasie itd., ale też dotyczyła schludnego ubioru, wyglądu i grzeczności wobec pasażerów.

J.T. wszystkim tym rygorom podporządkowywał się. Golił się codziennie rano, wkładał czyste ubranie, był punktualny i w ogóle nikt nie miał do niego żadnych zastrzeżeń. Aż pewnego dnia powziął iście szaleńczą myśl. Postanowił zapuścić... wąsy. Nie żeby miał szczególne upodobanie do włosów rosnących mu nad górną wargą, ale chciał w ten sposób udokumentować swoją indywidualność, chciał wyróżnić się spośród reszty kierowców, którzy każdy włos na swojej twarzy pieczołowicie wycinali znakomitymi przyrządami do golenia. Odważny czyn J.T. spowodował natychmiastową reakcję kierownictwa przedsiębiorstwa. Kazano mu... zgolić wąsy. J.T. wąsów nie zgolił. Kierownictwo zwolniło J.T. z pracy. J.T. nie dał za wygraną. Skierował sprawę do sądu.

W sądzie przedstawiciel przedsiębiorstwa komunikacyjnego oświadczył, że firma dba o to, aby każdy kierowca był ogolony, aby mógł dobrze prezentować się pasażerom. Firma gotowa jest przyjąć J.T. do pracy, ale pod warunkiem, że J.T. zgoli wąsy. J.T. na to, że wcale mu na wąsach nie zależy, a skarży przedsiębiorstwo komunikacyjne tylko dla zasady, gdyż uważa, że wąsy są jego prywatną sprawą, a w żadnym wypadku firmy. Dlatego domaga się przyjęcia z powrotem do pracy i to z wąsami oraz wypłacenia mu odszkodowania za te wszystkie dni, w których pozostawał bez pracy z winy przedsiębiorstwa komunikacyjnego.

Zdarzenie drugie. Na stacji A. zatrzymał się pociąg elektryczny. Motorniczy wyszedł z elektrowozu i na peronie zapalił papierosa. Wracając do elektrowozu nie zgasił papierosa i trzymał go jeszcze w ustach, gdy dojeżdżał do stacji B. Pasażerowie, którzy to widzieli złożyli władzom kolejowym skargę na motorniczego, który w tak jawny sposób złamał obowiązująca dyscyplinę. Motorniczy tłumaczył się, że pociąg dojeżdżając do stacji A. miał dwie minuty opóźnienia i musiał skrócić postój o jedną minutę aby nadrobić opóźnienie. Nie mógł więc wypalić papierosa na peronie, do czego miał prawo. A ponieważ miał za sobą nocną służbę i czuł się zmęczony chciał papierosem przepędzić senność.

Władze kolejowe takiego tłumaczenia nie przyjęły do wiadomości i ukarały niezdyscyplinowanego kolejarza ostrą naganą publiczną, która pociągnęła za sobą też karę pieniężną.

Wszystko.

Teraz przypominam pytanie: gdzie zdarzyły się oba opisane powyżej zdarzenia? Zastrzegam przy tym, że nie jest to żart prima aprilisowy. Oba zdarzenia są autentyczne.

Proponuję szukać odpowiedzi drogą eliminacji. Na pewno nie miały one miejsca w Polsce A to z dwu powodów. Bywały u nas takie wypadki, kiedy zwierzchnicy wysyłali pracowników do fryzjera, gdyż nie podobała się im długość uwłosienia u pracowników, ale to się dawno skończyło i dziś na szczęście nikt do takich drobiazgów nie przywiązuje uwagi, byle tylko właściciel bujnej fryzury dbał o jej czystość. To jest powód pierwszy.

Powód drugi jest bardziej wyrazisty. Pociągi u nas spóźniają się po sto i więcej minut i nikt z tego powodu nie robi problemu, choć wszyscy na to oburzamy się. Ale skarżenie się na maszynistę, że pali papierosy zamiast troszczyć się o likwidację opóźnienia ma taki sam skutek, jak skarżenie się władzom PKP, że pociąg w ogóle spóźnił się.

Nie będę trzymał dłużej Czytelników w niepewności. Oba zdarzenia miały miejsce w Japonii. Odbiły się one głośnym echem nie tylko w prasie japońskiej, ale szeroko pisała o tym prasa europejska. Na przykład londyński „The Times" wiadomość o Yoshifusa Takeishi, który nie zgolił wąsów i zaskarżył do sądu pracodawców z „Eastern Airport Motors Co", którzy za to zwolnili go z pracy, umieścił na pierwszej stronie. Dla niezwykle zdyscyplinowanej Japonii było to bowiem wydarzenie szokujące Warto tu przypomnieć, że załogi niektórych fabryk tak dalece posuwają się w lojalności do pracodawców, że strajkują tylko w czasie przerwy obiadowej.

Prasa japońska, omawiając wypadek niezdyscyplinowanego kolejarza, który palił papierosa w pociągu, sygnalizowała, że opinia publiczna Japonii, jest zaniepokojona brakiem szacunku niektórych kolejarzy do... munduru.

Dzieją się na świecie rzeczy, o których nam nawet się nie śni.

MARCIN RODAK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

Władysław Rymkiewicz

Złakniony kontaktów z czytelnikiem Wziął zamieszkał nad empikiem.

Rys.: Stanisław Ibis Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

ZAWAŁ

Zawał serca staje się coraz częściej chorobą literatów i chorobą poniekąd literacką, to jest przedmiotem studiów powieściowych, wielostronicowym opisem. W tym przypadku — o paradoksie — życie potwierdza literaturę, literatura potwierdza życie.

Takim potwierdzeniem jest również najnowsza książka Mirona Białoszewskiego: spisywany przez trzy miesiące dziennik zawałowca. Ściśle mówiąc nie jest to tylko dziennik, może nawet rodzaj reportażu, proza werystyczna i amorficzna zarazem.

Ze szpitalnego bezruchu, a potem z rekonwalescencji, wynika zapewne, iż proza Białoszewskiego, mimo niezaprzeczalnej prawdy szczegółów i bardzo dowcipnych obserwacji, wywołuje jeszcze przed zakończeniem lektury uczucie monotonii. Bohaterowi „Zawału" umilają życie przyjaciele i znajomi. Przynieśli mu między innymi „Emmę" pani Austen. Po jej przeczytaniu taką wydaje on opinię ogólną: „Emma długa, dobra, ale monotonna". W chwilę później precyzuje: „Ma jeden motor ironicznej prawdziwości. A powinna mieć jeszcze drugi — przyspieszacz dramatyczny". Otóż ocena ta pasuje jak ulał do „Zawału".

Ironiczna prawdziwość w warunkach szpitalnych i następnie uzdrowiskowych nabiera znaczenia szczególnego. Wyrwani wskutek choroby z codzienności, ze zwykłych trosk i kłopotów, umieszczeni w nowym wymiarze, pacjenci zmieniają natychmiast sposób patrzenia. I to nie dlatego, iż otarli się o śmierć, iż skróciła się dosyć nieoczekiwanie perspektywa — wynika to raczej z określonej atmosfery miejsc, w których ratuje się zdrowie. Czy najlepsza powieść „sanatoryjna" — wspaniała „Czarodziejska góra" Tomasza Manna wywołałaby tak wielkie wrażenie, gdyby jej akcja toczyła się w innym miejscu i w innych okolicznościach? Dlaczego zresztą tak chętnie literatura ujawnia duchowe słabości człowieka chorego fizycznie? Skąd się bierze ta cała literacka „uzdrowiszczyzna"? Pytania raczej banalne. A odpowiedzi? Mogą być tylko jeszcze bardziej banalne.

Odrębność dwóch światów — świata ludzi zdrowych i świata ludzi chorych — jest tak wielka, że bez przerwy niemal wywołuje zdumienie wnikliwego obserwatora. Jego refleksje stanowią niejako przedsmak tego, co by „pomyśleli o tym wszystkim ci z innej planety, gdyby tak nagle tu wylądowali". Chodzi przy tym nie o sprawy zasadnicze, ale o rzeczy najdrobniejsze, o te wszelkie imponderabilia, które normalnie, zajęci własnymi sprawami, najczęściej ignorujemy.

W dotychczasowej prozie Mirona Białoszewskiego, wywodzącej się przecież w pewien sposób z jego poezji, niejednokrotnie zdania dziwiły się sobie. Tutaj sytuacje takie występują rzadko. Natomiast dziwują się sobie, umiejscowione niejako w jednym człowieku, w jego wizjerze, dwa światy: świat zdrowych i świat chorych, świat normalnych i ograniczonych przez chorobę. Dziwią się sobie do tego stopnia, że zaczynają się jakby przenikać i niekiedy wcale nie wiadomo, kto tu jest zdrowy, a kto chory.

Krótka historia choroby przedstawiona przez Mirona Białoszewskiego opisuje nie tyle jednostkę chorobową, co zjawiska towarzyszące, a więc dobroć szczerą, spontaniczną oraz dobroć zwyczajnie mechaniczną, zaangażowanie i obojętność, znużenie i nadzieję. Jakkolwiek w niejednym fragmencie przeładowana szczegółami — jest lekturą naprawdę zastanawiającą.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Miron Białoszewski, Zawał, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1977, nakład [illegible] egz. cena zł 25.—

MAGAZYN kulturalny Nr 3

DONOSY KRAJOWE

„Rewelacją muzycznego sezonu" określili zgodnie krytycy koncerty londyńskiej orkiestry kameralnej „Academy of St. Martin in the Fields". Rewelacja ta, niestety, ominęła tym razem Łódź...

Podobnie zgodne opinie, acz dużo mniej pochlebne, wzbudził najnowszy dramat Ernesta Brylla. „Balladę Łomżyńską" pokazały kolejno teatry w Elblągu i Warszawie. Sztuce Brylla zarzucano werbalizm i dramaturgiczną anemię. Tych słabości nie przesłoniła bogata, warszawska inscenizacja Augusta Kowalczyka.

Krystian Zimerman koncertował w londyńskim Royal Festivall Hall w repertuarze chopinowskim. Odniósł kolejny sukces. Nieco wcześniej w tym samym miejscu wystawiał swe prace Władysław Hasior. Kolejną wystawę prac tego artysty zorganizowała reprezentacyjna galeria wiedeńska — Kunstlerhaus.

Komandorię Legii Honorowej — najwyższe odznaczenie francuskie otrzymał prof. Władysław Tatarkiewicz, wybitny filozof, ceniony i znany także we Francji z licznych wykładów i kontaktów naukowych.

W Carnegie Hall w Nowym Jorku odbyło się prawykonanie koncertu skrzypcowego Krzysztofa Pendereckiego, dedykowanego amerykańskiemu skrzypkowi Isaakowi Sternowi. Orkiestrą stanu Minnesota dyrygował Stanisław Skrowaczewski.

„Sprawę Dantona" Stanisławy Przybyszewskiej wyreżyserował w sofijskim Teatrze im. Armii Narodowej Andrzej Wajda. W wypowiedzi dla prasy A. Wajda podkreślił wysoki poziom bułgarskiego aktorstwa. Sztuki polskie gra obecnie szereg bułgarskich teatrów.

W Sztokholmie podpisano program współpracy kulturalnej, naukowej i oświatowej między Polską a Szwecją na lata 1978-80.

Telewizyjnym spektaklem roku 1977 uznano widowisko „Przed burzą".

W Krakowie przyznano medale i godność „Mecenasa sztuki". Między innymi — Południowej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Krakowie. W tym wypadku jednak, zamiast medalu za popularyzację współczesnych sztuk plastycznych, wolelibyśmy wręczyć medal za punktualność na trasie Chabówka — Nowy Targ albo za czystość na krakowskim dworcu. Choć nie wątpimy, że najłatwiej u nas zostać mecenasem...

Kultura w każdej gminie. Gminny Ośrodek Kultury w Horyńcu-Zdroju organizuje Biesiady Teatralne, natomiast w Domu Socjalnym PGR Kursowo co miesiąc odbywają się wernisaże galerii poezji. Z udziałem nie znanych nam bliżej poetów.

Teatr Mały wystąpił z prapremierą (w reż. T. Minca) odnalezionej po wojnie sztuki Witkacego. Jej tekst zachował się we fragmentach, bez tytułu i spisu osob. „Przedstawienie nie przynosi jasnych myśli, niewiele do tradycji Witkacego wnosi(...), jest natomiast zabawne i niepretensjonalne" — stwierdza recenzentka „Kultury".

Trwają podróże Teatru Cricot 2 Tadeusza Kantora. W lutym — Włochy, w marcu — Australia... Teatr ten, nazywany przez prasę zachodnią „najpoważniejszym teatralnym zespołem eksperymentalnym w Europie", przez ponad 20 lat działalności nie doczekał się w kraju własnej sali prób.

Prasa ogólnopolska bije na alarm w sprawie zabytków krakowskiego Starego Miasta. Choć od czasu Uchwały Rady Ministrów minęły trzy lata, proces rewaloryzacji nie wyszedł poza fazę początkową. Pół miliarda wydano na remont 15 zaledwie budynków. Prace zaczęły się na razie w 4 spośród 39 bloków architektonicznych Starego Miasta. Budynki oczekujące na remont dewastują szaborownicy. Wiele cennych zamków, okuć, parkietów, kafelków itp. wędruje na jarmarki staroci tylko dlatego, że nikt nie pomyślał wcześniej o magazynie!

Na Polu Mokotowskim w stolicy rośnie Biblioteka Narodowa. Kombinat Budownictwa Mieszkaniowego w Radomiu kończy budowę ścian piwnicznych i stropów najważniejszego w kompleksie BN budynku. Zaawansowane są już przygotowania do montażu ścian książnicy.

Już niebawem ukażą się w sprzedaży książki z tekstami popularnego radiowego magazynu rozrywkowego „60 minut na godzinę", zaopatrzone w nagrane na taśmie piosenki.

Garść tytułów ze scen warszawskich: Ateneum — „MEWA", Powszechny — „LOT NAD KUKUŁCZYM GNIAZDEM", Lalka — „KOGUCIK I STRUSIĄTKO", Teatr na Targówku — „MOTYLE SĄ WOLNE", Komedia — „CAFE POD MINOGĄ", Syrena... — „TAAAKA RYBA" Nowy — „GRUBE RYBY"..., „COŚ W TYM JEST" — podpowiadają, nie bez racji, autorzy kabaretu „ZAKR"...

Nowe premiery w łódzkich teatrach: na scenie 7.15 Barbara Fijewska wyreżyserowała ze scenografią Stanisława Bąkowskiego musical Kaspra Stefanowicza „Taka noc nie powtórzy się więcej". W Teatrze Ziemi Łódzkiej polska prapremiera napisanego w 1938 roku dramatu Georga Kaisera „Ogrodnik z Tuluzy" (reż. Jan Perz).

*

Natomiast dziesiątą teatralną premierą studentów Wydziału Wokalno-Aktorskiego PWSM w Łodzi była „Gejsza", operetka Sidneya Jonesa. Spektakl (na gościnnej scenie Teatru Muzycznego) ma dobrą prasę. „Kwintet pięciu oficerów Marynarki JKM stał się wydarzeniem bodaj bez precedensu w dziejach premier studenckich: po długotrwałej owacji w połowie drugiego aktu kwintet został w całości powtórzony!" — pisze A. Izykowska —Mironowicz („G.R." z 15 marca). A Jerzy M. Fiedosiejew proponuje w nie mniej pozytywnej recenzji („Express" nr 60), aby jednak „ktoś zwrócił uwagę solistom na monotonność (...) gestów, podpatrzonych w dodatku u zagranicznych piosenkarzy...".

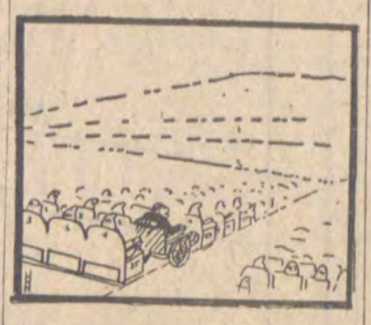

Rys. M. Ammer

Z ŁODZI I OKOLIC

*

Kolejna premiera znalazła się również wśród inicjatyw Domu Środowisk Twórczych. Teatr Propozycji przedstawił „Oczy", sztukę łódzkiego lekarza-psychiatry Ludwika Gebla.

*

Godna uwagi jest ta wszechstronność działań DST. Z jednej strony premiery teatralne, kabaretowe i „Czwartki Literackie" (ostatnim gościem był wybitny prozaik Andrzej Kuśniewicz, o którego powieści „Król Obojga Sycylii" wydanej niedawno po francusku, krytyk „Le Monde" napisał, iż „stała się odkryciem wielkiego pisarza"; kariera Kuśniewicza we Francji dopiero się zaczyna...), z drugiej strony zaś — np. przygotowany na zlecenie „Uniwersalu" program reklamowo-rozrywkowy „Spotkanie z gwiazdami polskiej rozrywki (m.in. „Mortale", J. Pietrzak i K. Wichniarz) czy organizowany wspólnie z „Polmozbytem" koncert „Ludziom dobrej roboty"...

*

„Lirę Orfeusza" — Nagrodę Ministerstwa Oświaty i Kultury (w dziedzinie poezji śpiewanej) zdobyła na XXIII Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim w Warszawie Alina Ignaczewska — uczennica I LO w Zgierzu.

*

Nadal trudne warunki pracy ma Miejska Biblioteka Publiczna w Pabianicach. Nie udało jej się otworzyć w ub. roku ani jednej filii. Skutki: mniejsze wykonanie planowanego zakupu książek, mniejsza liczba czytelników (o 1200 osób!), mniejsza ilość wypożyczeń (o ponad 5 tys.!). Nie zdołano również poprawić warunków istniejących placówek. Wymianę instalacji pabianickie PBK przełożyło **na rok 1978.**

*

Rozpoczęły się zapisy do łódzkiej Szkoły Baletowej. Pod uwagę brane są te dzieci, które w bieżącym roku skończą III klasę szkoły podstawowej. Długa droga czeka je do świadectwa dojrzałości i tytułu „tancerki — tancerza".

*

10-letnia Ania Wójcik, uczennica klasy IIIb SP nr 2 w Pabianicach zagra rolę córki rodziny Kowalskich w nowym, 7-odcinkowym serialu pt. „Rodzina Leśniewskich". Anię wybrano spośród 60 pabianickich dzieci. Jej filmowymi rodzicami będą znani łódzcy aktorzy — Krystyna Cesarz i Bogusław Sochnacki.

*

„Wydarzeniem artystycznym Sztokholmu" określił korespondent „Dziennika Popularnego" wspólny spektakl łódzkiego Teatru 77 i szwedzkiego Teatru 9, zatytułowany „Skrzyżowanie — Korsvaeg". Realizacja ta cieszy się dużym zainteresowaniem szwedzkiej publiczności, a także prasy, radia i telewizji. „Pierwsze opinie wskazują — pisze po premierze J. Babol („D.P." nr 64) — iż stało się ono istotnym doświadczeniem, wzbogacającym dotychczasowe kulturalne kontakty polsko-szwedzkie".

*

Do informacji o dwóch nagrodach łódzkich plastyków na IX Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie, zamieszczonej w poprzednim „Magazynie", dorzucamy jeszcze jedną: Nagrodę Dziennikarzy otrzymała tam przedstawicielka Łodzi — Roma Hałat.

„NIEDUŻA HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ" (1)

Rozpoczynamy dziś kurs „Niedużej historii literatury polskiej". Pragniemy jednak uprzedzić ewentualnych uczestników kursu, iż będzie miał on charakter nieoficjalny, niesystematyczny, niechronologiczny, nieprzymusowy czyli fakultatywny i niezobowiązujący nikogo do niczego, a szczególnie organizatorów do odpowiedzialności za cokolwiek, np. za efekty nauki.

Wykład I,
część pierwsza

„Bohater młodej prozy"; prowadzi A. W. Pawluczuk: „NOWY WYRAZ" nr 1/1978.

TEZA: W młodej prozie człowiek wespół ze światem realizują ideę. Idea ta polega na przemieszczaniu się z miejsca na miejsce, zaspokajaniu potrzeb fizjologicznych i wypowiadaniu słów.

EGZEMPLIFIKACJA:

— Bohater opowiadania **Andrzeja Pastuszka** skupia swoje wysiłki na zdobywaniu dachu nad głową, dziewczyny i paru złotych na jedzenie i picie. — Krąg życiowych spraw bohatera najnowszej powieści **Filipa Bajona** zamyka się w piciu i posiadaniu kobiet. — Bohater powieści **J. P. Krasnodębskiego** pt. **„Marsz dowolny"** podrywa dziewczyny, rytmiczne ruchy ciałem przekłada nad miłość. — Bohater powieści **Donata Kirscha „Liście croatoan"** dąży do fizycznego zbliżenia z siostrą. — Bohater **„Pościgu" Jerzego Żurka** pije wódkę, śpi z dziewczyną, choć nie widzi w tym żadnej przyjemności: (cytat) **„Obejrzałem się, żeby schwycić koc, zjeżdżający mi ciągle z pleców. Co, poza śmiesznością, jest w takich podskakujących gołych pośladkach, połciach spoconego mięsa".** — Główne zajęcia bohatera **„Zabawy w głuchy telefon" Janusza Andermana** polegają na spacerowaniu po mieście, piciu piwa i wina, słuchaniu przypadkowych rozmów i posiadaniu przypadkowych kobiet. — Bohater powieści **Jacka Natansona „Mały bilard z grzybkiem"** sfrustrowany jest dlatego, że nie chce go dziewczyna, którą sobie upodobał; wie czego chce: Grażyny i zmierza ku temu celowi szybko i zdecydowanie. Rozmawia o dziewczynach: (cytat) **„Targała mnie na chate, podobno jej starzy wyjechali, otwieramy drzwi, a tu chrapanie tubalne dochodzi, nic z tego, musisz spadać — załamała się — starzy wrócili — nie bój żaby, żaba w wodzie to nie bodzie — rzekłem jej, wytargaliśmy fotel wygodny na klatkę i na tym fotelu ja przydeptałem, potem jeszcze na stojąco, przy poręczy, tak trzeba żyć, nie pekać (...) Albo sklepowa miałem. Wszędzie ją deptałem — na ladzie, na beczce, w ubikacji, na umywalce, w lesie na piefkn".**

cdn.

NA ROMANA GORZELSKIEGO LAUREATA KONKURSÓW POETYCKICH

Rośnie wygranych konkursów krzywa;
I nię wypływa na wierzch oliwa.

Z „HAMLETA"
Oczytana świnia
Słynne rzuca zdanie:
„Ryć albo nie ryć,
Oto jest pytanie?"

M. M. Szargan

PODKREŚLAMY RÓŻNICĘ

W cyklu „Nad czym pracują twórcy" o swych najbliższych planach opowiedział dziennikarzowi PAP łódzki pisarz **Leon Gomolicki.** Nie omieszkano jednak wpisać go przy tej okazji — nie pierwszy zresztą raz — do pisarskiego klanu rodziny **Gomulickich** (dwukrotnie łącznie z tytułem). Podkreślamy więc subtelną, ale istotną różnicę między autorem „Erotyku" i autorem „Wspomnień niebieskiego mundurka".

PONOWNE ODKRYCIE AMERYKI

Z przejęciem śledzimy rozwój intelektualny red. Małgorzaty Karbowiak. Ostatnio znów podzieliła się ona interesującym odkryciem, zapewniając nas w artykule „Obrażają panią Basię!" („G.R." z 15 marca): **„Ależ współczesna sztuka, nie tylko awangardowa, posługuje się bardzo często kamuflażem i innymi figurami stylistycznymi!...".**

A nam, naiwnym i głupim, wydawało się, że „kamuflażem" a szczególnie „innymi figurami stylistycznymi" posługiwali się nieco wcześniej Homer, Arystofanes i Ezop!

WARTO TO ZOBACZYĆ

W początkach kwietnia gości w Łodzi (na zaproszenie ST „Pstrąg") teatr Uniwersytetu w Caen — „LA TRIPE DE CAEN". Goście z Francji przedstawią nie znaną u nas sztukę „MATUZALEM" Ivana Golla, wybitnego francuskiego surrealisty niemieckiego pochodzenia (prapremiera tej sztuki w 1923 roku zakończyła się skandalem).

Na uwagę zasługują środki artystyczne, jakimi „LA TRIPE DE CAEN" buduje spektakl, wykorzystując w nim maski, marionetki, niecodzienne efekty teatralnej machiny, elementy stylu komedii dell'arte. Scenografem i reżyserem „MATUZALEMA" jest dyrektor teatru, J. P. Laurent.

TERMINY PRZEDSTAWIEŃ w wykonaniu francuskich gości: 2 i 5. IV. g. 20 (sala ST „Pstrąg", Wólczańska 74), 3.IV. g. 17.00 i 20 (teatr im. Jaracza), 6.IV. g. 18,30 (sala ZTK „Teofilów"), 7.IV. (sala „Uniontexu").

Rury wydechowej do „Syrenki" poszukuje poeta Mirosław Kuźniak. Telefon 828-20.

SALONOWIEC NA OTWARCIU „YAPY"...

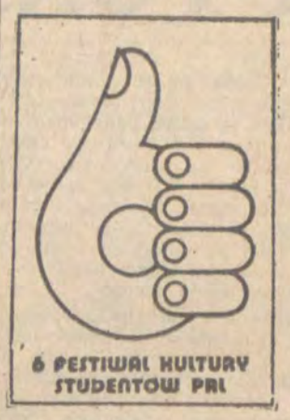

Pod nieobecność Rektora Galasa studenci znów skrzyknęli się na (piątej już) „Yapie", z powodu jubileuszu słusznie ochrzczonej „Yapą... kobiet". Powracając do kinowej sali Politechniki, organizatorzy wybrali wariant „umiarkowanej masowości". Oznacza to ok. 400 widzów na każdym koncercie (trzech na centymetr kwadratowy) i ponad 100 wykonawców. To zagęszczenie, ryzykowne w świetle naszych przepisów przeciwpożarowych, tudzież inne dowody rosnącej rangi i popularności, przydały tegorocznej „Yapie" kilku nowych uroków...

UROKI „EUROPY" I DROGI SŁUŻBOWEJ

O tym, że studenci prasy nie kochają (z wyjątkiem pisemek porno) przypomniał sobie Salonowiec, kiedy wciągnąwszy głęboko w płuca woń sali: ewokującą lata pieszych wędrówek w nie zawsze dopranych skarpetkach i z butelką „Zywca" przy ustach, usiłował wtargnąć między puste krzesła. Jakież było jego zdziwienie gdy stanął mu na drodze kordon chłopców „europejskich" z postawy (szykowne „szwedki" z prześwitującego ortalionu w modnych: białym i granatowym kolorach, krótkofalówki na podstawowym uzbrojeniu), lecz — o zgrozo! — w całej tej „europejskości" naszych — swojskich, krajowych, mazowszanych (przez miłość do munduru i usztywnienie rangą). Na nic zdały się jednak tłumaczenia, służbowe papiery... „Te krzesła dla gości" — usłyszał Salonowiec, nie gość?

I poszedłby sobie pewnie precz, gdyby widok przewalającego i ugniatającego się tłumu spragnionego pieśni pęczniejącego, lecz wciąż luźnego w swych granicach dla „kumpiów z pokoju" i „znajomych z przystanku", nie przypomniał Salonowcowi, że to właśnie wśród studentów znajomości pozwalają przenosić góry.

Wjechał więc Salonowiec między „rzędy dla gości", uczepiony sweterka szefowej komisji studenckiej kultury.

UROKI CEREMONIAŁU

„Yapa" ma coraz większe, stosownie do rosnącej rangi, „Na życzenie organizatorów otwieram „Yapę" — mówi prorektor Hausman, nie bojąc się salw śmiechu, jakie zwłaszcza w zastosowaniu do osób oficjalnych, wywołuje dwuznaczne słowo w nazwie. Wkracza poczet sztandarowy harcerzy z portretami przywódców („Yapy"), którzy (harcerze, nie przywódcy) śpiewają cienko (piosenki), szczebiocą słone, żołnierskie kawały, inscenizują kółko graniaste (zobacz foto). W wyniku demokratycznych wyborów widzowie sami sobie przyznają medale „Zasłużonego Słuchacza Piosenki Studenckiej", rozkwita handel koszulkami, przeprowadza się regularne zajęcia z higieny (gimnastyka, wydmuchiwanie powietrza z sali). Wszystko to rozśmiesza publiczność, choć jest tylko oprawą. Nie dla niej tworzono ten festiwal.

UROKI PROGRAMU

Dodatkowy bon na cukier temu, kto w „turystycznej" piosence dostrzegł na przestrzeni lat ostatnich jakieś wyraźniejsze linie rozwojowe, zmiany świadczące o doskonaleniu warsztatowym i wykonawczym... Ale bo też jak i o czym śpiewać przy pieczeniu kiełbasek, jeśli nie do wtóru gitar o tęczy lata, barwach zimy, pasażach jesieni i kolorach wiosny? I nic tu nie poradzi nawet „szefowa kultury" (studenckiej), gdy stwierdza z przerażeniem: „Oni nic nie chcą w tych piosenkach"

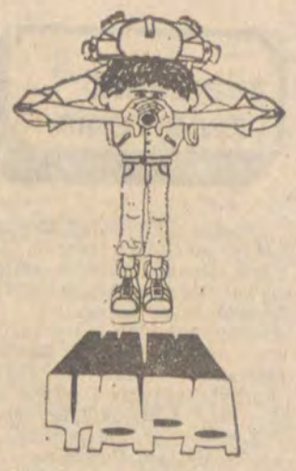

Dlatego chyba z takim aplauzem przyjmuje się na „Yapie" to wszystko, co wykracza jakoś poza wzdychania do Giewontu i śpiewnikowy banał: choćby satyrę na wyjazdy zagraniczne („Turcja" zdobywcy Grand Prix, grupy „Zezowaty Piskorz" z Łodzi) czy piosenkę polityczną (A. Grotowski). A jak mało potrzeba do dobrej zabawy, świadczy przyjęcie 7-letniego Darka, który był prawdziwą

ozdobą otwarcia Piątego Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Turystycznej. Śpiewał Sambę-Sikoreczkę („Jest w stodole dziura, zarosła jej kura ..") a gorące po niej owacje przypomniały Salonowcowi szum gradu, który, z pierwszą wiosenną burzą, spadł w dzień otwarcia „Yapy", 17 marca.

W ogóle małoletni wokaliści (zuchy i Darek) zdominowali to otwarcie. I śpiewających studentów. Może by więc wykorzystać szansę i otworzyć „Yapę" dziecięcą? Jeżeli tak się stanie — proszę pamiętać, że pomysł podrzucił wam

SALONOWIEC

...I NOWEJ KNAJPY

Szefowa kuchni Lidia Zamkow poleca...
Rys. St. Ibis-Gratkowski

Wszystko to, co zapowiedział, przed dwoma tygodniami Salonowiec, okazało się prawdą: rzeczywiście nową restaurację artystyczną zlokalizowano w rejonie Fabrycznej i Targowej, rzeczywiście ajentem został Wydział Aktorski PWSFTviT, a szefową kuchni — Lidia Zamkow. Na początek przygotowano cztery uczty.

Salonowiec stawił się karnie przegłodzony, choć już od progu zdumiał go brak stołów i srebrnej zastawy w części sali dla zaproszonych gości.

Pierwsze przyjęcie i od razu zawód. Wszak to tylko postna herbatka u Betty Twierskiej („Anna Karenina") i w dodatku mocno przegadana. Bez samowara i bez ciastek, a za to z wodą imitującą herbatę. Że też coś takiego mogło sprawić przyjemność biesiadnikom! A może tylko udawali?

Przed drugim przyjęciem światło przygasło, zastawiano stoły. Nareszcie — ucieszył się Salonowiec — coś podadzą. I znów niespodzianka: na scenie Balladyna obgryza samotnie wielką pieczeń (chyba z pawia?), a słowa Matki:

„Wy młodzi, chłacie dobze" adresowane są zapewne do towarzyszących Balladynie w tej krótkiej uczcie duchów. Więc jeśli już ktokolwiek tu coś jadł, to tylko Balladyna pieczeń, a żądze Balladynę.

Ten sam paw, acz nadgryziony, pojawił się zresztą podczas uczty następnej przygotowanej z kolei na modłę „Caliguli" Alberta Camusa. Podano do tego wino, które przypominało kompot i coś, co równie dobrze mogło być wódką i wodą. Między Cezonia a Helkonem krążył plaster mielonki. C'est tout. Nietrudno było więc Salonowcowi odgadnąć przyczynę złych humorów, doprowadzających Caligulę i dwoje jego zauszników do szczytów okrucieństwa. Wszak stare, italskie (a przyjęte później przez nas) przysłowie powiada: Rzymianin głodny, to zły.

Zagadnienia higieny odżywiania udało się jednak porzucić przy uczcie czwartej i ostatniej. Nagrodziła ona nieco wielkie uczucie niedosytu. Wysoki poziom biesiadników sugerowały nalepki po papierosach „Marlboro" i importowanych trunkach. Między gęsią z tektury, papierowym łososiem i koniakiem z wody (z dodatkiem soku) pojawiły się wreszcie elementy naturalne: autentyczna sałatka jarzynowa, sałata zielona szklarniowa, jajka w majonezie. Nie była więc to uczta za trzy grosze, a niejeden z gości wyniósł jakąś pożyteczną naukę z lekcji manier stołowych, prowadzonej przez Mackie'go Majchra. Dzięki tej (wyposażonej również w walor dydaktyczno - wychowawczy) uczcie, opuszczaliśmy nową restaurację z wyraźnie zaostrzonym apetytem... I dobrze, że się tak stało. Kolacji zbliżył się czas.

P.S. Zainteresowanych informujemy, że restauracja „A...B...C... ...D" (ul. Targowa 61/63) czynna jest codziennie od 30 marca do 6 kwietnia (od godz. 19).

Z cyklu „PUDŁA"

„LEPSZY KOMFORT"

„Komfort" to zdaniem autora słownika wyrazów obcych „zespół warunków, zapewniający wygodę i odpowiadający w pełni (podkreśl. nasze) wymaganiom estetyki". Słowem, komfort to właściwie stan doskonały, graniczący z luksusem. Czy więc „komfort" może być jeszcze „lepszy" albo „gorszy"?

Zdaniem autora notatki (podp'sującego się ptom. „Dziennik Popularny" nr 60) zatytułowanej „LEPSZY KOMFORT JAZDY DZIĘKI TRAMWAJOM 805 N" jest to, jak widać, możliwe.

Sytuacja w łódzkich tramwajach nastraja być może do hurra-optymizmu, ale znajomość polszczyzny wśród dziennikarzy piszących o tramwajach, niestety, nie. Wyobraziliśmy sobie także, jak ślicznie dzięki temu „lepszemu komfortowi" wyglądać będzie w godzinach szczytu tramwaj linii „11", poruszający się w kilometrowym ogonku na ul. Zachodniej z prędkością pół metra na minutę, albo nie poruszający się wcale. Dlatego optymizm tramwajarzy i redaktora ptoma nie udzielił się nam zupełnie. Przepraszamy!

BAŚKA PRACUJE (nad metaforą)

Do tej pory sądziliśmy, że „na kołku" zawiesić można buty ewentualnie co najwyżej strzelbę. Tymczasem pisząc, że w zawodzie literata, „jak w każdej twórczości, nie da się zawiesić na kołku myśli o rozpoczętym dziele" J.K. („Twórczo i społecznie", „G.R." nr 61) udowadnia, że w niektórych zawodach ponoć graniczących z twórczością (np. w dziennikarstwie) daje się jednak od czasu do czasu zawiesić myśl... Rodzą się wówczas tak cudne metafory, że na ich widok język staje kołkiem. I debieje.

P.S. Za wypożyczenie tytułu do tego „Pudła" dziękujemy naszemu ulubionemu krytykowi literackiemu dr. Jerzemu Tyneckiemu.

Nagrodę „Tytuł miesiąca" otrzymuje redakcja „Dziennika Popularnego" za tytuł:

Kiedy maluch na spirytus?

DEMENTI

W numerze 11 „GAZETA ZIEMI PIOTRKOWSKIEJ" zamieściła (w dziale: „BÓJKI, NAPADY, KRADZIEŻE...") dwa następującej treści komunikaty:

KOMUNIKAT PIERWSZY: „W dniu 22 bm. między stacjami Piotrkowa a Częstochową, pasażerowi pociągu osobowego — Andrzejowi Włodkowskiemu, podczas snu, z przedziału klasy II skradziono futro wartości 250 rubli".

KOMUNIKAT DRUGI: „W tygodniu ubiegłym podczas obiadu zadławił się, jedząc mięso, robotnik Tomasz Kacprzyk. Wezwany lekarz skonstatował już tylko śmierć".

W związku z opublikowaniem tych komunikatów wyjaśniamy, że wszelka zbieżność nazwisk i imion ofiar z nazwiskami i imionami dwóch spośród członków zespołu redakcyjnego naszego tygodnika jest przypadkowa.

Co więcej, wydaje się nam, że komunikat drugi pochodzić musi z czasów bardzo odległych i trudnych: kiedy mięso bywało bardziej kościste. Wyjaśniamy to wszystko celem uniknięcia nieporozumień.

Magazynier i Ska

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 685. I-2.